

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 40 (1724) 6-12 października 2023



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

You  Tygodnik NIE

SAŁATKA KAMPANIJNA

♦ Sondaze z przełomu września i października. IBRIŚ; Social Changes dla wPolityce.pl; Estymator dla „Do Rzeczy”; United Surveys dla Wirtualnej Polski i – osobno – dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM. Ten ostatni najważniejszy, bo robiony 2 października, już po Tuszkowym pochodzie. Jego efekt okazuje się nieprzesadny: 1 punkt na plus dla KO – tyle samo co dla Trzeciej Drogi, która w marszu nie uczestniczyła. W sumie wygląda to tak: PiS – od 31,6 do 39 proc.; Platforma Obywatelska – 26,4 do 30,6 proc.; Trzecia Droga – od 9,6 do 12,1 proc.; Konfederacja – od 9 do 10 proc.; Lewica – od 8,1 do 10,2 proc. Mamy też „sondaz wewnętrzny”, ogłoszony przez Donalda Tuska w Elblągu: PiS – 34,9 proc.; KO – 32,8 proc., Lewica – 9,7 proc., Trzecia Droga – 9,5 proc., Konfederacja – 9,3 proc.

♦ Pochód pierwszopadziernikowy – zwany oficjalnie nieco pretensjonalnie Marszem Miliona Serc – był liczny. Tyle wiemy. Donald Tusk twierdzi, że wyrobił target – milion; ratusz Trzaskowskiego się z nim, zaskakująco, zgadza. Policja mówiła najpierw, że nie powie, bo nie jest od liczenia, tylko od pilnowania, ale potem Jarosław Kaczyński ogłosił, że 60 tysięcy, co policja skwapliwie potwierdziła, dorzucając hojnie dodatkowe 40 tys. „na trasie przemarszu”. Zdjęcia z dronów wskazywały, że szacunki policji mogą być nieco zaniżone, a przy okazji – jak dobrze wychowani byli demonstranci: na rondzie Dmowskiego, na potrzeby antyrządowych protestów zwanym rondem Praw Kobiet, zbity tłum starannie omijał tereny zielone, co dało nieco niepokojący efekt w postaci krzyża celtyckiego w środku demonstracji. Jak nauczała Polska Ludowa: „Sznuj zieleń”.

♦ Generalnie wszakże Tuszkowy marsz uznawany jest za sukces. Choć nie obyło się bez potknięć. Najgrubszym było prawdopodobnie dziaderstwo: na starcie marszu na scenie pojawiło się sześciu facetów i każdy wzywał kobiety do głosowania. Jedyną niewiastą była najmłodsza kandydatka PO, którą Donald Tusk przedstawił jako „Weronikę”, podczas gdy dziewczyna ma na imię Wiktoria, co, jak trafnie zauważyła, „oznacza zwycięstwo”. Więcej się nie ciekawego panna do powiedzenia nie miała. Z bliżej nieznanych powodów mówcy występowali na tle rozporka – okolica obleczonego w dzinsy krocza to jedyne, co kamery uchwyciły na monstualnym plakacie z dużą liczbą dzieci, który wyświetlany był na scenie. Są jednak jeszcze pewne niedociągnięcia.

♦ A propos krocza: nasze ulubione hasło z niesionego przez tłum transparentu: „Jebać PiS, aż osiągnie trwały zwis”. Występowało pod sceną tuż obok transparentu z napisem „Kocham Cię Polsko”. Nieco zaniepokoił nas za to tekst prawie oficjalnego hymnu antypisizmu: „Wolność kocham i rozumiem”. Tekst brzmi: „Tak niewiele widziałem, tak niewiele zobaczę, tak niewiele myślę, tak niewiele znaczę, tak niewiele słyszałem, tak niewiele potrafię”... Postulowali-bysmy, żeby nie były to kryteria doboru ministrów przyszłego rządu.

♦ Kiedy Tusk maszerował w Warszawie, Kaczyński pojechał do Katowic, gdzie w mrocznym Spodku 10 tys. aktywistów i beneficjentów partii rządzącej obejrzało spot o tym, „jak nie powinna wyglądać debata publiczna”. „Przypierdolić” – zalecał w nim Andrzej Seweryn, anonimowa uczestniczka marszu kobiet wrzeszczała do policjanta: „Mendo jebana, męska kurwo, prostytutko”, Nitras zalecał walczyć „kijem”, a Komorowski „lać się dechą”. „To nie jest materiał dla najmłodszych, dlatego zachęcamy do tego, żeby dzieci nie oglądały tych scen” – ogłosił rzecznik PiS Rafał Bochenek. A pewnie że nie, gówniarzeria i tak nie może głosować.

♦ Lech Wałęsa skończył 80 lat. Gdańsk urządził mu z tej okazji fetę, na której dostojny jubilat odebrał stosowną porcję czolobitności. Monika Olejnik, głosem łamiącym się ze wzruszenia, dziękowała Wałęsie, że wywalczył nam wolne media i dzięki niemu może „zaczynać swój program od słów »witam w wolnych mediach«”. Maciej Stuhr zadał nobliście pytanie, bez czego nie może się obyć. Wałęsa odparł rezolutnie: „Bez żony”. A kiedy incele z Konfederacji mówią, że „należących do siebie kobiet” nie traktują „jako partnerów, ale jako część dobytku”, to postępowca opozycja jest oburzona. Robert Biedroń wygłosił nawet w tej sprawie apel do Polek: „Jak jakiś facet wam mówi, że będzie głosował na Konfederację, to nie idźcie z nim do łóżka”.

♦ Wśród osób niezainteresowanych bezpośrednio polityką niepokój wzbudziła epidemia, która sieje spustoszenie wśród dystrybutorów na stacjach Orlenu. Kierownictwo koncernu ogłosiło, że benzyna jest tania i jest jej w bród, ale żeby nie tankować na zapas, wobec czego cała Polska ruszyła, oczywiście, tankować na zapas i dystrybutory nie wytrzymały kondycyjnie.

♦ Donald Tusk wygrał proces wyborczy z Bezpартyjnymi Samorządowcami, których nazwał „przystawką PiS” i „pomocnikami Kaczyńskiego”, dodając, że „dobrze wiemy, kto założył ten komitet, kto go finansuje”. Sąd uznał, że wypowiedź Tuska miała charakter „wiecowy, retoryczny i w szczególności oceniający” i „nie należy w tym przypadku mówić o wypowiedzi o charakterze informacyjnym”. Patryk Jaki z SP z kolei przegrał z Agnieszką Pomaską z PO proces o zdjęcie jej samochodu ozdobionego plakatem „Głosowałeś na PiS, to wypierdalać, żeby cię tu, kurwo, więcej nie widział”. „Ludzie Tuska to wulgarni zdrajcy i obciachy” – napisał Jaki w komentarzu. Sąd orzekł, że „obciachy” jest dopuszczalny, ale mówić, że PO to „wulgarni zdrajcy” nie wolno. Nie, żebyśmy byli za Jakim, ale dostrzegamy pewną niekonsekwencję w orzeczeniach dotyczących „wypowiedzi oceniających”.

Z URNY URBANA

W 1991 r. prokuratura oskarżyła Urbana i tygodnik „NIE” o szerzenie pornografii. To sprawiło, że pierwszy raz media masowo zauważyły „NIE”, a szczególnie będąca wówczas w łapskach posolidarnościowych rządów telewizja publiczna. Poza tym media na ogół udawały, że „NIE” nie istnieje, ale jakoś mimo to udaje się nasz tygodnik wydawać już 33 lata (rocznica minęła 4 października). Przypominamy, co w marcu 1991 r. pisał na ten temat Urban.

Idąc do pierdła

Z telewizji i prasy dowiedziałem się, że Prokuratura – ho, ho, ho – Wojewódzka w Warszawie skierowała przeciwko mnie do sądu akt oskarżenia o szerzenie pornografii. Ufam, że ja, szerzyciel, dowiem się urzędowo, że jestem oskarżony i ten akt oskarżenia otrzymam do łapy. Tak byłoby bardzo grzecznie.

Jestem kryminalnym prawnikiem. Tak się jakoś głupio składa, że chociaż jestem ciemny typ – oskarżonym zostałem po raz pierwszy. Rola oskarżonego wymaga – okazało się – pracowitości. Z prośbą o komentarz lub wypowiedź dzwoniło do mnie tylko pierwszego dnia 17 redakcji, głównie gazet codziennych. Niektóre dzwoniły w nocy, chociaż teraz, za wolności, nie wolno oskarżonego budzić po nocy ani przesłuchiwać.

Dzwoniło też parę światowych agencji prasowych, m.in. amerykańska UPI, niemiecka DPA, jugosłowiańska Tanjug, dalej dwie polskie ogłoszenie radiowe itd. Sensacją, że Urbana będą sadzać, ma wymiar światowy, gdyż świat jest nudny, a już na sam dźwięk słowa „Polska” cudzoziemscy dziennikarze usypiają. Zamierzam zresztą wydać w USA taśmy z naszym hymnem narodowym jako nieszkodliwym środkiem usypiającym dla Amerykanów.

Główny dziennik telewizyjny, zwany obecnie „Wiadomościami”, podał informację o oskarżeniu mnie i przez to po raz pierwszy w dziejach wspomniął o istnieniu tygodnika „NIE”. Zawiadomiły o dobru ni się do skóry memu pismu także inne wydania wiadomości telewizyjnych i programy radiowe. Gdybym chciał zamówić tyle reklam – musiałbym temu zdziercy Terleckiemu (Marian Terlecki, szef Komitetu ds. Radia i Telewizji w 1991 r. – red.) zapłacić kilkaset milionów złotych. A jeszcze będą procesy przed instancjami, wyroki, czyli dużo

przed nami atrakcji i szumu. Całuję więc prokuratora Herzoga w jego kosmatą łapę. Lękam się, że prokuratura, która uczyniła mi dobrze, sama źle wyjdzie na tym procesie, przynajmniej w życiu doczesnym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kto Urbanowi nakopie, ten zyska zbawienie wieczne. Prasa tak zwanego wolnego i strasznie demokratycznego świata, kręcąc się wokół przyszłego procesu Urbana, nie tai, że staje po stronie swego dawnego czerwonego wroga, a przeciw obskurancjo-klerykalnym skłonnościom obecnych władz. Dziennikarze zachodni, będąc jajogłowymi i liberałami, uważają, zdaje się, to oskarżenie za przejaw zwyczajności ciemnoty i kultuństwa w polskim systemie politycznym. Prokuratura więc ściąganie na swych rządowych mocodawców nieprzychylności, a w rezultacie zbierze od nich pretensje, że głupio wycelowała.

Ta strasznie demokratyczna i wolna prasa zachodnia, no i polska także, dziwuje się w rozmowach z oskarżonym Urbanem, iż spośród wszystkich krajowych i zachodnich czasopism sprzedawanych w Polsce wyspecjalizowanych w pokazywaniu tego, co mężczyźni i kobiety mają w kroczu (a także tego, co robią z tym, co mają) – na pierwszy pokazowy proces antypornograficzny został wybrany akurat opozycyjny tygodnik polityczny. Te sukiny z prasy, Monsieur Herzog, po prostu nie wierzą, że chodzi o pornografię, pomimo że Pan wydał takie piękne zarządzenie, żeby nas, demoralizatorów, ścigać. A więc oskarżając mnie, już na wstępie prokuratura traci polityczną niewinność i wiarygodność też, niestety.

Jeszcze jako kandydat na oskarżonego przeczytałam akta sprawy, pełne ekspertyz biegłych. Oskarżenie mnie wydaje się błędem także w świetle orzeczeń speców powołanych

przez prokuraturę. Są to skomplikowane wywody, wyrażające spiralne wątpliwości. A sąd nieborak wątpliwości interpretować powinien na korzyść oskarżonego. I pod tym więc względem prokuratura zbłaźnić się może, ale chyba tak źle dla niej nie będzie, bo na pewno trafi się sąd myślący prosto, bo pobożnie.

Nim jednak zakują mnie w kajdany i wtrącają do lochu jako pierwszego więźnia z natury swej politycznej Najjaśniejszej Koronowanej Rzeczypospolitej Klerykalnej – zaproszę wszystkich przyjaciół tygodnika „NIE” na mój proces, kiedy tylko poznam jego termin i miejsce. I w „NIE” wszystko będziemy sensacyjnie opisywać – zapewniam.

Otrzymujemy liczne wyrazy solidarności z oskarżonym Urbanem, przekazywane w imię wolności cieszenia się rozwartym kroczem i z różnych innych motywów. Pani Marszałkowa Sejmu zadzwoniła, że chce być Matką Kolbe i iść zamiast mnie do więzienia. Adwokat z OPZZ przyszedł proponować swoje usługi i poparcie milionów związkowców. Płyną propozycje wpłat pieniężnych na moją obronę oraz organizowania manifestacji protestacyjnych. Dziękuję bardzo i na ile umiem się wzruszać – jestem wzruszony. Pieniądże są niezbędne. Wystarczającym poparciem materialnym jest kupowanie tego świńskiego „NIE”. Wszystkie inne formy poparcia bardzo są jednak potrzebne, szczególnie w czasie procesu. Z góry dziękuję.

Niech żyje rozwarte krocze!

Niech żyje prokuratura z wicebiskupem Chrzanowskim i antypornografem Herzogiem na jej szpicie!

URBAN

PS W toku procesu, który toczył się niejawnie, prokurator odstąpił od oskarżenia. Sąd wydał wyrok uniewinniający. Nakład „NIE” się podwoił.



TRYBUNA LUDZI

To jaki będzie wynik wyborów?

Facebook

Krzysztof Gajewski: Taki, że można już bilet kupować.

Eugeniusz Rezmer: Zero, zero, dogrywka i karne.

Eugeniusz Rezmer: Wygra, nie wygra – potargować można.

Maciej Dadej: Stan wyjątkowy będzie, a nie wybory.

Maciej Dadej: 21 do 37.

Tomek Grzybowski: Podobno głosy już są policzone...

Рад Резнор: Frekwencja wyniesie 30 albo 60%. A może 120. Raz trzeba być gołębiem, a raz jastrzębiem. Moję jako jastrzębą na czele jastrzębi. Ale nie warto kopać się z koniem.

Krashan Brahmanjara: Polacy, nic się nie stało!

Erwin Markielewicz: Opozycja wejdzie w koalicję z mniejszością niemiecką i utworzy rząd.

Jakub Bojanowski: 2:0 dla naszych.

Rafał Bartkowiak: Ziobro : Ziobro.

Stanisław Górny: Wynik wyborów będzie taki, że Kaczyński wraz ze swoją świtą będą mieli godzinę spacerniaka dziennie!

Forum

BOG: Taki jak w Warszawie albo w Katowicach – zależy, kto będzie liczył.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

CZY JEST PANI Z OPOZYCJI?

BO MAM OCHOTĘ NAPŁUĆ KOMUŚ W TWARZ

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

WIATE

Do Daniszewskiej

Kocham Cię za to, że najcudowniej na świecie dajesz dupy, jeśli już dajesz, że jesteś piękna, mądra i błyskotliwa, i naturalna, i masz ciało urzekające w dotyku i patrzeniu [...], i za to, że się przy tym wszystkim Ciebie nie boję, jestem przy Tobie rozluźniony i mogę być szczery i prosty, nie muszę niczego grać, a tylko rzadko coś zgrywać, i mam poczucie bezpieczeństwa, spokoju i szczęścia.

7 czerwca 1985
URBAN

Dyktowała światu warunki

Czas spędzany z mamą był fascynujący. Nieprzychylnie wyróżniała się pewnością siebie, często przekraczając granice bezczelności.

Kiedy w stanie wojennym znudziło jej się siedzenie w domu, przebrała mnie w strój regionalny i zabrała na wycieczkę do Łowicza. Zatrzymującym nas patrołom tłumaczyła, że jedziemy na występy folklorystyczne i że zapomniła przepustki. Żołnierze patrzyli na mnie w wielkiej pasiastej spódnicy, ciasnno wbijały w tylne siedzenie malucha, i bez dalszych ceregieli przepuszczali. Miałam wtedy siedem lat i pamiętam zachwyt, jaki wzbudziłam po przybyciu na miejsce.

Konkursu oczywiście żadnego nie było, ale ludzie wychodzili z domów, żeby popatrzeć na mój cepeliowski strój. Wtedy stroje regionalne wśród młodych były szczytem obciachu.

Ta wycieczka nie miała innego celu, zjadliśmy obiad i wróciliśmy do domu.

Mamie jednak jak zwykle udało się pokazać, że nikt jej nie będzie mówił, co ma robić. Ani żaden stan wojenny, ani żadni żołnierze – ma być tak, jak ona sobie tego życzy. Takie eskapady dawały mi euforyczne poczucie szczęścia. Świat działał tak, jak życzyła sobie moja mama.

MARTA

Matka i mrówki

Mama w dniach dostarczenia tekstów do redakcji wstawiała światem i tłukła niemiłosiernie w starą maszynę do pisania spowita dymem z marlboro i zapachem kawy. Maszyna stała na zabytkowym biurku, z którego spadały kolejne strony, śmieci i chusteczki do nosa.

Na półce przy biurku obok aparatu fotograficznego były nasze zbiory bursztynu.

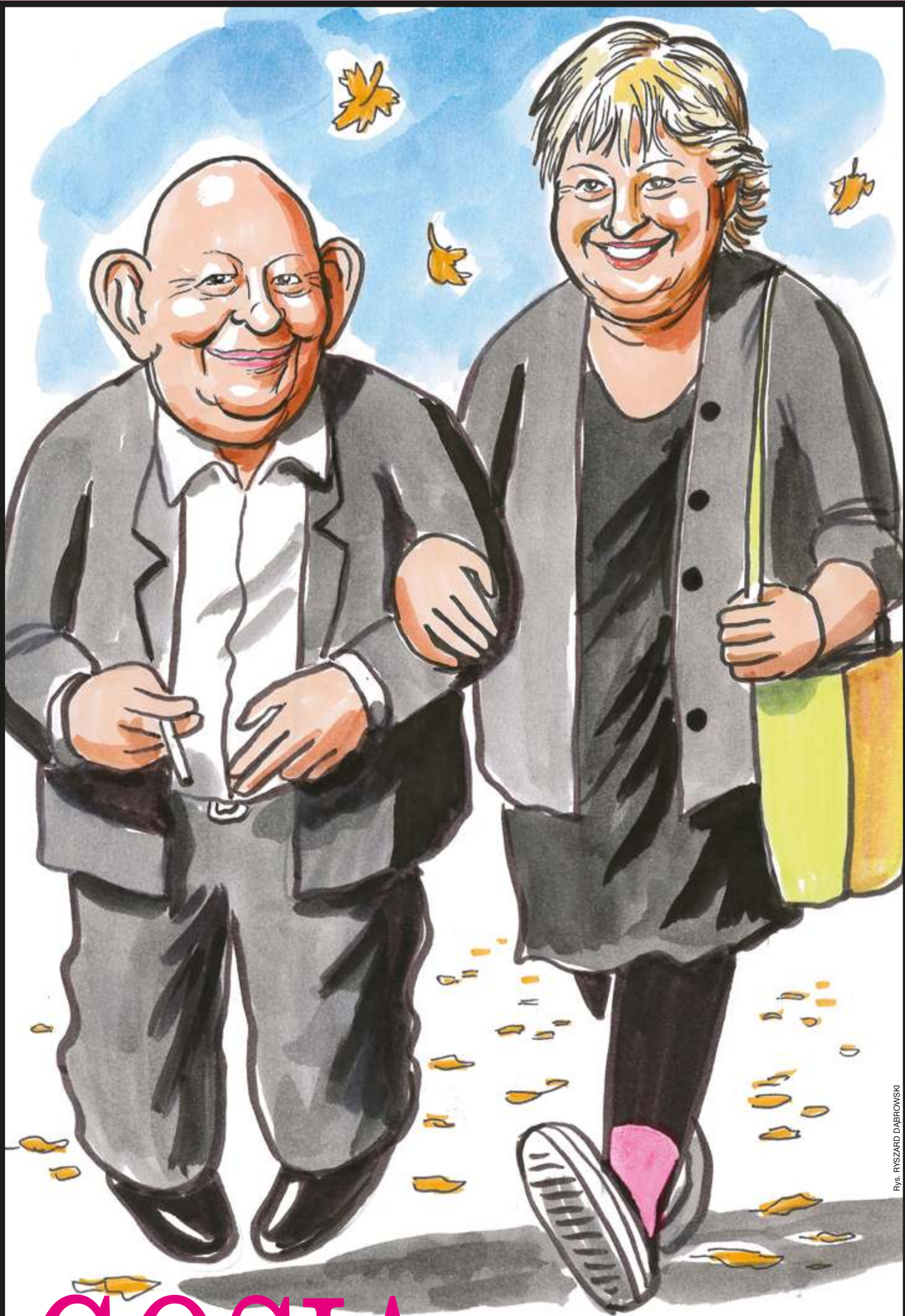
Wakacje spędzałyśmy w Juracie lub Cetniewie. Mama była pierwszą kobietą, która odważyła się opałać topless na ogólnodostępnej plaży. Prężyła ostentacyjnie cycki, stając się przedmiotem uwielbienia mężczyzn i jeszcze silniejszej nienawiści kobiet. Zawsze znalazł się jakiś pan do posmarowania pleców. W tym czasie ja leżałam na piasku z głową schowaną pod ręcznikiem na wypadek, gdyby nadszedł ktoś znajomy.

I podczas wakacji każdego roku w trakcie sztormu godzinami przeczesywałyśmy nadbałtyckie plaże, szukając ładnych kamieni i bursztynów.

W ramach eksperymentu matka zrobiła kiedyś nalewkę z bursztynu, która miała służyć jej zdrowiu. Jedynym następstwem jej wypicia było jednak to, że mamie przez dwa tygodnie odbijało się żywica. Ale wierzyła w medycynę naturalną. Latem w lesie wchodziła do mrówek, bo usłyszała, że mrówki gryzą tylko w wybrane chore miejsca na ciele ofiary. Goła, darła się wniebogłosy, gdy owady gryzły ją niemiłosiernie.

Ta historia z mrówkami pokazuje zresztą jej dziwną fascynację bólem. Mama do szczęścia w życiu potrzebowała silnych emocji i ból jej ich dostarczał. U dentysty nigdy nie brała znieczulenia, nawet po operacji stawu biodrowego zaraz po przebudzeniu zredukowała środki przeciwbólowe do minimum. Jej wytrzymałość na ból czyniła ją silną.

MARTA



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

GOSIA

Scott Fitzgerald, jak Gala i Salvador Dalí albo jak Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre. Ich trwający 37 lat nieustanny młodzieńczy romans zasługuje na oddzielną powieść.

...

„Gooooosiuuu!” – rozlegało się wieczorem w pewnym momencie w redakcji. Urban w kurtce lub płaszczu, z teczką i laseczką był już gotowy do wyjścia i wołał Daniszewską.

A ona, siedząc z nami w pokoju grafików, gdzie najczęściej wybierała rysunki do numeru, potrafiła się zaśmiać i powiedzieć: „Ale ci Żydzi to są bezczelni, żeby tak krzyczeć”. Ale zaraz się podnosiła i odkrzykiwała: „Idę, idę!”. Brała od Urbana teczkę, on brał ją pod ramię i wychodzili, aby następnego dnia znowu się pojawić przed południem.

Urban nazywał żonę Gosią, ona natomiast jego Łysym lub Żydem. Ale mieliśmy z nią jeszcze jedno określenie Urbana: Nasze Srebra Rodowe.

W redakcji powszechnie nazywaliśmy Daniszewską Mamusią poprzez analogię do nazywania Urbana Tatusiem.

Kochali się bardzo i byli dla siebie stworzeni, co było widać na każdym kroku. Jak Zelda i Francis

Małgosia Daniszewska zmarła we śnie 3 października w swoim domu w Konstancinie. Zmarła dokładnie w rocznicę śmierci Urbana.

Natychmiast pojawiły się spekulacje, czy jest możliwa taka zbieżność.

Cóż, Małgosia Daniszewska wolę miała żelazną. A była przy tym niesamowicie dowcipna i uwielbiała wszelkie happeningi. Najwyraźniej wybrała sobie specjalnie taką datę, aby wszyscy się temu dziwowali. Bardzo to w jej stylu i w stylu tygodnika „NIE”.

Nie napiszemy, że spotkają się teraz – Ona i On – gdzieś tam w zaświatach. Bo całe życie konsekwentnie oboje uważali, że żadnych zaświatów nie ma i nikt po śmierci nikogo nie spotka. Daniszewska i Urban zostają już tylko w naszej pamięci i w naszych emocjach.

REDAKCJA

Walczy na Wschodzie o prymat najbardziej antyrosyjskiego państwa na świecie. Walczy werbalnie, bo to najlepiej potrafi. Plugawi słownie wszystko, co rosyjskie. Usuwa z przestrzeni każdy symbol kojarzący się z rosyjskością. Skuteczny pogrom ruskich pierogów w krajowych barach to miłowy krok w marszu PiS na Moskwę. Wielkie zwycięstwo w wojnie o międzynarodowy prestiż.

Niestety, realnym efektem tej surrealistycznej wojny jest wydany przez Rosję zakaz przelotów przez jej terytorium wszelkich samolotów nadlatujących z Polski. To sprawia, że traci sens ekonomiczny planowany przez państwo PiS centralny lotniczy port przesiadkowy, wielka prestiżowa budowa państwa PiS. Zwłaszcza że państwo PiS walczy też z Białorusią. Bo Białoruś to wierny ideowy sojusznik Rosji i Putina.

Do tego panuje tam ohydny autorytarny reżim. Ponoć obcy mentalnie i esztycznie państwu PiS. Bo policja białoruska bije kobiety podczas opozycyjnych wieców. Nawet zagląda im do majtek. Władza białoruska plugawi białoruskich artystów za ich niepatriotyczną twórczość. Bezwzględnie walczy ze zdegenerowaną Unią Europejską i środowiskami LGBT. A także zamknęła swą przestrzeń powietrzną dla samolotów z Polski.

Dodatkowo władze białoruskie patronują swym gangom przerzucającym za pieniądze emigrantów przez Polskę do Niemiec. Do całej Unii Europejskiej, tej „wymyślonej wspólnoty”. Od każdego emigranta białoruscy gangsterzy pobierają przynajmniej 5 tys. dolarów bez gwarancji skutecznego przetrwania. Psują tym interesy polskim gangom działającym pod patronatem polskiego rządu. Załatwiający emigrantom za pieniądze wizy polskie, czyli do strefy Schengen. Skutecznie, bezpiecznie, komfortowo.

Białorusi nie ma w strefie Schengen, stąd konieczność wypychania jej emigrantów przez zieloną granicę do Polski.

Między rurkami

Aby zahamować działalność gospodarczą białoruskiej konkurencji, państwo PiS wybudowało na granicy białoruskiej antyemigracyjny mur za prawie dwa miliardy złotych. Z rurek pustych w środku jak elity intelektualne PiS, łatwych do wyginania. Do tego mur jest niekompletny, nie sięga bagien, bo tam nawet pustka utonie. Ale zdesperowany emigrant przedrze się i przez bagna.

Napływ emigrantów poczętych z pustych PiS-rurek zauważyli nawet Niemcy i zagrozili wprowadzeniem kontroli na granicach z Pol-

Halo, halo! Państwo PiS nadal walczy! Wielki mur z pustaków

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

ską. Czyli faktycznym push backiem Polski ze strefy Schengen.

To uznano w państwie PiS za skandal, bo takie praktyki pozbawiłyby polską mafie sprzedającą wizy strefy Schengen dalszej ekonomicznej egzystencji. A patronujących jej prominentów z rządu PiS poduszki finansowych.

Nic dziwnego, że uprawiające „prestiżową dyplomację” państwo PiS odgrzało front zachodni i znów uderzyło propagandowo w Niemcy.

Niemcy teraz wkurwiają państwo PiS na maksa. Bo walczą ekonomicznie z Rosją, ale nie chcą konkurować z pisowcami w rankingu najbardziej rusofobicznych państw świata. Przeciwnie, wysyłają stałe sygnały, że po zakończeniu wojny wrócą do współpracy z nieputińską Rosją.

Co gorsza, Niemcy dogadali się właśnie z Ukraincami. Gotowi są zawrzeć pakt Scholz-Zelenski i wprowadzić Ukrainę do Unii Europejskiej, skąd państwo PiS chętnie Polskę by wyprowadziło. Na razie czyni to werbalnie i prestiżowo.

cwaniacy z PiS postawili na wojnę hybrydową. Oskarżyli sąsiednią Słowację o przepuszczanie migrantów do Niemiec przez Polskę. I wszczęli z nią wojnę. Na słowa jedynie. Ale zawsze jakiś murek można i tam postawić.

Zwłaszcza że Słowacja graniczy z Czechami. A Czesi to dla państwa PiS „ukryta opcja niemiecka” jest. I co gorsza, też proekologiczna. Poza tym Czesi to lutry są, a nie katolicy prawi.

Jak świat światem, nie będzie Polak z Czechem bratem. Podobnie jak z Ruskim i Niemcem. O Słowakach i Białorusinach nie warto wspominać, bo nie są to dla państwa PiS prestiżowe narody.

Zdrada, zewsząd zdrada!

Czesi to nie tylko „genetyczni zdrajcy”. To też tacy Szwedzi Słowiańszczyzny. A Szwedzi właśnie stracili okazję, by „siedzieć cicho”. Też ostatnio zaczęli ujadac na politykę państwa PiS.

Nie może im to ująć na sucho. Szwedzi, to trzeba przypomnieć, również zrujnowali I Rzeczpospolitą w czasie potopu i nie zapłacili stosownych reparacji ani zadośćuczynień. Niech teraz zapłacą. Zwłaszcza że mają, na biednych nie trafiło.

Obiętica przyszłej kasy przyda się propagandzie państwa PiS, bo z Chinami też się państwu PiS ostatnio kwasi. Pekin zaprasza w październiku na zjazd przywódców państw zainteresowanych udziałem w projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku. Polska ma w tym globalny interes. Ale tym razem prezydent Duda do Pekinu nie polecą. Bo tam będzie też prezydent Putin, przywódca państwa wrogiemu. A w prestiżowej dyplomacji państwa PiS nie można być na międzynarodowym spotkaniu z wrogami.

Problem w tym, że zbiór wrogów państwa PiS rośnie z każdym miesiącem. Wrogami już są Białoruś, Niemcy, Czechy, Słowacja, Ukraina, Szwecja. Kandydują Litwa i Francja. Niebawem trudno będzie liderom państwa PiS dokądkolwiek jechać, bo zawsze będzie można spotkać tam jakiegoś wrogię lidera.

A co gorsza, niebawem może być jeszcze gorzej. Jeśli uznany przez państwo PiS film Agnieszki Holland „Zielona granica” otrzyma nagrodę przyznaną przez Watykan, to papież Franciszek też awansuje do grona wrogów państwa PiS. I wszyscy podlegli mu funkcjonariusze.

A wtedy żaden ideowy pisowiec do katolickiego kościoła chodzić już nie powinien.

I wtedy prezes Kaczyński powinien pójść drogą angielskiego króla Henryka. Zerwać z tym neomarksistowskim liberalnym Watykanem i stworzyć swój Kościół. Pisokatolski.

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

Autobusy komunikacji miejskiej w Szczecinie tankują na stacjach Orlenu. Wynika to z rzadkiej w wolnorynkowej gospodarce sytuacji, kiedy towar w detalu jest tańszy niż ten sam towar w hurcie. Jedną z przyczyn anomalii jest to, że cena benzyny w Polsce nie jest kształtowana przez wolny rynek, tylko przez monopol naturalny, który trzyma Orlen. Oczywiście niech on tak daleko trzyma i jak najdłużej wytrzyma.

Emigrantka ze Słowacji urodziła w polskich Tatrach trójkę dzieci. Chodzi o rysicę Tylkę, która uciekała przed słowackim uciśkiem tamtejszego premiera Odora. Źródła w Tatrzańskim Parku Narodowym nie podały żadnych informacji o ojcostwie kociąt. Ani personalnych, ani narodowych.

Śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej, ale bez głośników – powiedział przedstawiciel kołobrzesckiej straży miejskiej, która oskarża niepełnosprawną śpiewaczkę Agnieszkę K. o zakłócanie spokoju opodal miejscowego mola. Wokalistka zakłóca już swoją wokalizą od siedmiu lat. Mimo licznych mandatów i upomnień nadal uważa, że jej śpiewanie to niesienie radości innym i że to jest jej sposób na życie. Aby zmieniła sposób na życie i zniechęciła się do niesienia radości, straż miejska żąda teraz grzywny w wysokości 5 tys. zł.



Rys. TOMASZ WATKIN

Z tasakiem w plecach opuścił imprezę alkoholową 25-letni mieszkaniec Zamościa. Goszcząca go 24-latką była tak wzburzona wzajemną różnicą poglądów na kwestie fundamentalne, że chciała go zabić, kiedy ten wycofywał się na korytarz. Ćwiartowaną przeżył i czuje się zaskakująco dobrze. Czy użycie rzeźnicznego narzędzia było uzasadnione, bada prokuratura. Badania są utrudnione, ponieważ wszyscy byli pijani i nikt jakoby niczego nie pamięta.

Po 340 latach, bo tyle minęło od odsieczy wiedeńskiej, polskie orły na czerwonym tle znów pojawiają się nad Wiedniem. A to za sprawą Orlenu, który kupił operatora sieci paliwowej Turmöl wraz z jego 266 stacjami benzynowymi zaopatrującymi w paliwa 14 proc. austriackich samochodów. Stacje są bezobsługowe, czyli takie, w których płaci się za tankowanie kartą przed napel-

nieniem baku. Dzięki temu personel Orlenu nie będzie się musiał uczyć austriackiego gadania.

Od minionej niedzieli kraść można więcej, przez co kradzieży będzie mniej. Próg, od którego kradzież przestaje być wykroczeniem, a staje się przestępstwem, podniesiono z 500 do 800 zł. Na tym polega uświęcająca magia inżynierii finansowej.

A w Brodnicy dwóch 14-latków grało jeżem w piłkę nożną na ul. Jana Pawła II. Papież i jeź nie żyją. Zgromadzone przez policjantów materiały dowodowe w tych sprawach nie pozostawiają cienia wątpliwości.

Złe wieści przekazała także asp. Bocian z Komendy Miejskiej w Toruniu. 31-letnia mieszkanka gminy Obrowo skatowała sa-

mochód byłego partnera z zemsty. Wybiła mu szyby oraz pokiereszowała maskę. Zemsta poszła zatem zgodnie z planem. Wszystko mogło skończyć się dobrze, ponieważ zasadniczo były partner nie miał żadnych pretensji. Pretensje miał jednak jego sąsiad, dysponujący takim samym pojazdem, któremu niezasłużenie się oberwało. Czy dokonująca wendety czuje się spełniona, czy zblamowana, asp. Bocian nie powiedziała.

Żydzi natomiast będą jeździć znowu polskimi tramwajami, czego – jak pamiętamy – swego czasu nie było im wolno. Bydgoska PESA dostarczy bowiem do Jerozolimy (miasto w Izraelu) 132 nowoczesne niskopodłogowe tramwaje modelu Twist, które doskonale sprawdzają się w najświętszej Częstochowie. Żydzi obiecali zapłacić za kontrakt 4 mld euro. No, pożyjemy, zobaczymy.

W Pile zabił się 50-latek. Sam sobie jest winien. Wyskoczył z samolotu 3 km nad ziemią i nie otworzył spadochronu. Miał też sposobność użycia spadochronu zapasowego, ale z niej nie skorzystał. Istnieje podejrzenie, że była to spektakularna próba samobójcza zakończona pełnym sukcesem.

Najmniejsza w powiecie chojnickim (Kaszuby) gmina Konarzyny w ciągu trzech lat potroiła swoje przychody, jak żadna inna gmina w Polsce. W 2020 r. miała do wydatków 9 mln zł, a w obecnym ma ich 27. Nie jest to wynikiem kosmicznego wzrostu wpływów podatkowych, wynikłego np. z nowych inwestycji. Pieniądże przyszły z Unii Europejskiej w formie dotacji. Oznacza to, że za wyższy standard życia podatników w Konarzynie zapłacili podatnicy niemieccy. Wójt Jacek Warsiński wyjaśnił, że zainwestowano w remont szkoły, boiska, placu zabaw i komisariatu policji. *Hans und*

Helmut sind sehr zufrieden mit ihrer Investition in Zechlau.

W Katowicach odbyła się demonstracja Ruchu Autonomii Śląska pod hasłami na transparentach: „Dłomogomy się uznano Ślōnzoków za etniczno myrśność”. Podstawą takiego żądania są wyniki spisu powszechnego z roku 2021, według którego narodowość śląską jako pierwszą deklarowało 236 588 osób, jako drugą – 359 636 osób, a jako jedyną – 187 372 osoby. To oznacza, że suma deklaracji narodowości śląskiej wynosi 596 224 osoby. Jeżeli chodzi o nas, nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że Śląsk powinien mieć autonomię. Zamieszkiwany jest wszak przez ludność polakopodobną, której prawo do samostanowienia słusznie się należy.

To się dzieje tak: w rezultacie silnego uderzenia zbiornik paliwa znajdujący się pod tylną kanapą samochodu pęka. Benzyna wylewa się na rozgrzany do 1000 stopni katalizator i układ wydechowy. W ciągu sekund przedzieli pasażerski zmienia się w piec hutniczy. Ongis baki paliwa montowano za tylnym zderzakiem. Pojazd był lepiej wyważony, ale bardziej narażony na pożar w sytuacji uderzenia z tyłu. Aby był mniej narażony, współczesne samochody mają zbiorniki z paliwem przesunięte nieco do przodu. Jednak przy odpowiednio dużej sile niszczącej każdy bak w końcu się rozszczeł. Droższe zbiorniki, wykonane z kevlaru lub innych tworzyw sztucznych, pękają jednak rzadziej niż te zrobione z blachy za 5 zł za metr kwadratowy. Pomyślcie o zbiornikach w waszych autach. Aha, diesle nie są tak łatwopalne.

RJ

PS Wiadomości pochodzą z prasy terenowej, która przez swoją lokalną dobroć traci na wiarygodności. Nie odpowiadamy za ewentualne nieprawdy wynikłe z takiego stanu rzeczy.

NA MARSZU
POJAWIŁ SIĘ
TYLKO TUSK
I PIES Z KULAWĄ
NOGĄ...

RYS. WIDGET



Tusk i jego planety

Za milion kocham i cierpię.

Posłałem na pochód pierwszopaździernikowy. Głównie z ciekawości, trochę z wygodnictwa – kończył się w zasadzie pod moim domem – ale także dlatego, iż do pewnego stopnia przekonały mnie argumenty, że to jest moment, w którym opozycja powinna pokazać jedność.

Dostałem za to po głowie w mojej lewackiej bańce na FB, ale nadal uważam, że strategiczna decyzja lewicy, żeby wziąć udział w tej imprezie, była słuszną. Owszem, egzaltowanie nazwany Marsz Miliona Serc był wyrazistym sukcesem Tuska i lewica w jakimś stopniu się do tego sukcesu przyczyniła, grając w Tuskowej orkiestrze, za co może zapłacić utratą jakiejś części głosów na jego rzecz. Z drugiej wskazuje strony zbrokotowania imprezy mogło przynieść podobny albo i gorszy efekt, zwłaszcza wśród tych wyborców, którzy wierzą w wspólny rząd opozycji i mogliby zareagować niejaką irytacją na zachowanie, które uznaliby za sekciarskie i małostkowe.

Kler

A skoro już lewica postanowiła wziąć udział w marszu, wyszło nieźle. Bojowe wystąpienie Włodzimierza Czarzastego wymierzone głównie w „kler” korzystnie kontrastowało z cokolwiek dziwnym zwrotem Donalda Tuska, który wybrał ten akurat event, żeby poprzeć się do wierzących. Zaczynając od opowieści o tym, jak „Jan Paweł II złożył wizytę w ojczyźnie i władza zrozumiała, że to już jest prawdopodobnie koniec” (w 1979 r. z jaką ówczesną władzą Tusk rozmawiał, że wie, co ona rozumiała?), a później wzywając na scenę najmłodszą kandydatkę KO „Weronikę”, która tak naprawdę ma na imię Wiktoria, a której najważniejszą cechą w oczach lidera li-

sty zdaje się to, że jest „gorliwą katoliczką”. Jak rozumiem, platformiani strażnicy doszli do wniosku, że należy lekko wytonować antyklerykalizm, żeby puścić oko do niezdecydowanych, którzy ciągle w jakimś stopniu uważają się za katolików – „twardzi” katolicy twardo stoją przy PiS – i może dobrze, bo dzięki temu Czarzasty miał okazję wyjść na twardego. Nie jest facetem, którego da się lubić, nie jest też szczególnie inspirowanym mówcą – twardego w walce z ciemnogrodem, w obronie praw kobiet jest pewnie najlepszym dla niego wizerunkiem.

Co powiedziawszy, nie sposób nie odnotować, że

kobiety okazały się, znowu, przedmiotem troski polityków z pręciami, a nie samodzielnym podmiotem politycznym.

Nawet największe entuzjastki niedzielnej imprezy, opowiadające o niej – jak Barbara Labuda – ze łzami w oczach, musiały przyznać, że otwarcie z udziałem sześcioro facetów i paprotki, której imienia Tusk nawet nie zapamiętał, nie do końca współgrało z konceptem „cała władza w rękach kobiet”.

Kobiety

Nie było na „rondzie Praw Kobiet” takiego mówcy, który nie mówiłby o wadze kobiecych głosów, ale ważnego kobiecego głosu na scenie zabrakło. I to okazja przepiękna przez Lewicę.

Optymalna byłaby w tym miejscu oczywiście Magdalena Biejat – moim zdaniem najciekawsza i najsmaczniejsza kobieta w polskiej polityce – ale istnieje supozycja, że nieobecność partii Razem na niedzielnej imprezie była jej polityczną decyzją. Zrozumiała: dla antyesta-

bishmentowej lewicy, którą reprezentuje Razem, występowanie u boku Tuska byłoby ryzykowne. Ale z braku Biejat należało wyciągnąć na scenę jakąkolwiek inną kandydatkę z lewicowej listy – chociażby Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk – zamiast Roberta Biedronia.

Biedroń tak naprawdę nie miał nic nowego do powiedzenia, a to, co powiedział, zabrzmiało nieco niefortunnie: „Mam przesłanie do wszystkich Polek: wiem, co czujecie, kiedy widzicie nienawistę, kiedy rządzący podnoszą na was ręce, ale dzisiaj nasz strach, wasz strach musi zwyciężyć”. Zastąpienie pieprzonego bez sensu faceta, który przecież nawet nie kandyduje w tych wyborach, wyrazistą kandydatką było dla Lewicy dużą szansą na odcięcie się od zaprezentowanego przez organizatorów imprezy dziadectwa. Poważnie obawiam się, że przyczyną, dla której szansa ta została zmarnowana, było to, że Biedroń chciał sobie pogadać do milionowego tłumu. Jak będziemy przedkładać ambicje jednostek – liderów – nad strategiczny interes kolektywu, to daleko tak, towarzysze, nie zajdziemy.

Kult

Ale skoro już jesteśmy przy liderach: kult jednostki, uprawiany w PO, jest problemem nas wszystkich. I będzie nim coraz bardziej – widać to było wyraźnie na niedzielnej imprezie. Idea marszu – przypomnijmy – polegała na tym, że jednoczą się wszyscy, którzy chcą zmiany władzy, przywrócenia standardów demokratycznych. Tusk i tak był gwiazdą i gospodarzem tego spotkania, nic nie było mu w stanie tego odebrać. Po co zatem co chwila ktoś ze sceny wygłaszał pod jego adresem płomienny akt zawierzenia, kwestionując wspólnotowość spotkania? „A przed wami ten, dla którego tu przyszedliśmy, wielkie brawa! Pan premier Donald Tuuuusk!” – wołał z chłopięcym entuzjazmem Borys Budka, zapowiadając króć z kolei wystąpienie swojego szefa na trzygodzinnej imprezie niczym wejście Elvisa.

Otóż nie: nie poszłam tam „dla Tuska”, tylko mimo niego. Podobnie jak wielu moich lewicowych znajomych, którzy nie chcą trzeciej kadencji PiS, ale nie chcą też powrotu socjalnego darwinizmu z lat 2007–2015 i wierzą, że jedynym sposobem na uniknięcie obu tych czarnych scenariuszy jest silna obecność lewicy w sejmie i przyszłej koalicji wyborczej. Oczywiście jest nas kilkukrotnie mniej niż wyznawców kultu Tuska, ale bez nas Tusk pozostanie uwielbianym przez swoje zastępy liderem opozycji. Nie ma takiej układanki, w której dałoby się stworzyć antypisowski postępowy rząd bez kilkudziesięciu mandatów, które wniesie do koalicji Lewica.

Krótko mówiąc: nie wkurwajcie nas. Bardzo uprzejmie prosimy.

AGNIESZKA WOŁK-LANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Za tydzień w „NIE”

- Czterej jeźdźcy Apokalipsy – Kaczyński, Morawiecki, Obajtek, Czarnek – czy grożą nam wojna, zaraza, głód i śmierć?
- Wędrowki pisowców po wsiach polskich, czyli rzecz o kazirodztwie

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Jacek Sasin powiedział, że Polska Grupa Zbrojeniowa nie została zaproszona na ukraińskie Międzynarodowe Forum Przemysłu Obronnego. Ambasador Ukrainy w Polsce na antenie TVN24 zaprzeczył, twierdząc, że PGZ otrzymała zaproszenie jako jedna z pierwszych. Jak wiadomo, obie strony słyną z prawdomówności.

☆ Według cytowanego przez „Newsweek” historyka ze Lwowa Wasyla Rasewycza na forum ONZ prezydent Ukrainy „niepotrzebnie dał się ponieść, ale to nie jego należy wina, gdyż pracuje w stresie i znajduje się pod ogromną presją”. Stres jest tak duży, że Zelenski od dwóch tygodni nie potrafi wycofać się ze swych słów.

☆ Rządy Austrii oraz Węgier odmówiły wydania Kijowowi ukraińskich migrantów w wieku poborowym.

☆ Znany ukraiński publicysta Witalij Portnykow uznał, że nie ma większej różnicy między polską blokadą ukraińskiego zboża a zajęciem Krymu i uznaniem republik ludowych w Donbasie. Nieprawda. Gdyby Polska pierwsza zajęła Krym, to mielibyśmy przynajmniej plażę nad ciepłym morzem.

☆ Zelenski w amerykańskim parlamencie wreszcie złożył realistyczną deklarację: „Jeśli nie dostaniemy pomocy, to przegramy tę wojnę”. W przyjętym właśnie przez Kongres prozorium budżetowym na Ukrainę nie przeznaczono ani centa.

☆ Były doradca Zelenskiego Ołeksij Arestowycz pisze na swym blogu o strategii Kijowa: „Walczyliśmy o życie, okradamy samych siebie, okradamy innych, nie przynajemy się do żadnych błędów, nie wyciągamy żadnych wniosków. A gdy już nasi partnerzy wywierają na nas presję, zwalniamy uznanych za winnych, a ich miejsca zajmują tacy sami ludzie – i nic się nie zmienia”.

☆ Felietonista „Gazety Polskiej Codziennie” Jerzy „Bayraktar” Lubach ujawnia, jaką geopolityczną wagę mają niektóre części garderoby: „Napaść Rosji na Ukrainę spowodowana została tym właśnie, że kolejny kijowski Majdan rozpoczął rewolucję godności i zdecydowane zerwanie z tradycją ruskiej onucy na rzecz pozostałych po I Rzeczypospolitej gotyckich łuków, symbolu zachodniej cywilizacji, do której chcieli powrócić po wyrwaniu się spod władzy wschodniej satrapii”.

☆ Jako że zbliżają się wybory, Lubach kończy swój felieton w jedynej słuszny sposób: „Może skarpetki nie są najbardziej znaczącym wyznacznikiem ludzkości, ale stanowią jeden z przejawów cywilizacji zachodniej i bez wątpienia stają się istnym jej symbolem w zderzeniu z moskiewską onucą. Chcecie kupować onuce jako jedyne warianty odzienia stóp w monopolistycznej niemieckiej sieci supermarketów? To głosujcie na codziennie was obrażających chamów, złodziei i sprzedawczyków z PO”.

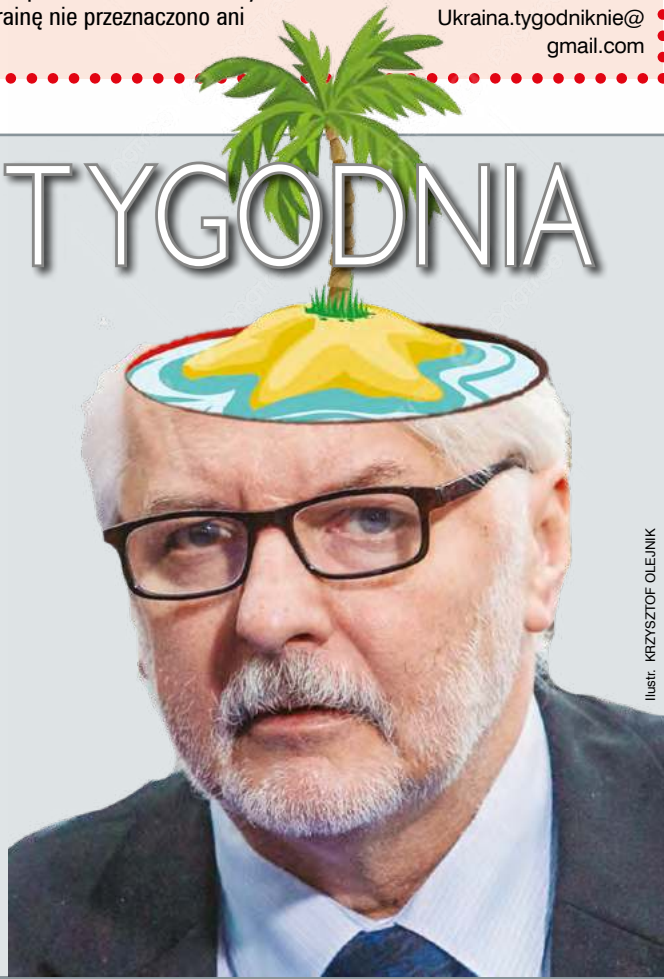
MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

MÓZDZEK TYGODNIA

Witold Waszczykowski był jednym z bardziej kabaretowych ministrów Prawa i Sprawiedliwości. Przejdzie do historii komizmu polskiego tym, że odkrył nieistniejący kraj San Escobar.

Teraz, gdy Waszczykowski jest Europosłem, postanowił o sobie przypomnieć. Dołożył swoje trzy szelągi do coraz bardziej depresyjnego dialogu pisowsko-ukraińskiego. Powiedział, że „Donald Tuska wspiera już nie tylko Moskwę, Berlin, ale także Kijów, który stał się od niedawna wrogiem polskiego rządu”. Oraz: „Ukraina jawnie w ostatnich wystąpieniach gra na zmianę rządu w Polsce. Im się wydaje, że powrót Platformy Obywatelskiej do władzy spowoduje jeszcze bardziej bezinteresowne zachowanie wobec Kijowa oraz uległość wobec polityki niemieckiej”.

Jak widać i słyhać, Waszczykowski jest bezdennym bęcwałem, jednak gdyby się okazało, że jego tępotą jest skutkiem stwardnienia zanikowego bocznego, na które cierpi, to prostujemy: odkrywca San Escobar nie jest głupi, tylko chory. Ciężko chory.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mędrca szkiełkiem i okiem w wywłokę

TRZEBA BYĆ TWARDYM!

Gdy Ziobro zajrzy ci w cipe

Zespół badaczy z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu dokonał „epokowego” wynalazku. Naukowcy opracowali innowacyjną metodę oznaczania substancji wczesnoporonnych w materiale biologicznym. Badania sfinansowano ze środków publicznych, a polska prokuratura ochoczo wdrożyła nową technikę. Okazuje się, że grzebanie w wydalonych płodach to szerzenie demokracji.

Czujne jak wałka, wściekle jak byk

Sprawę nagłośnili dziennikarka „Wysokich Obcasów” Zuzanna Kuffel i Aborcyjni Dream Team. Jako że kwestię wolności wyboru w decydowaniu o własnym ciele traktują w kategorii wojny na śmierć i życie, postanowiłam zgłębić wątek. Nie zawiodłam się, trafiłam do Trójkąta Bermudzkiego – jak się okazało – w okolicie skrzyżowania nauki z partykularnym kołtuństwem.

Jak podały „Wysokie Obcasy”, amerykański dziennikarz Patrick Adams ujawnił w „The New York Times”, że troje polskich naukowców wynalazło metodę, która pozwala sprawdzić, czy kobieta zażyła tabletkę wczesnoporonną. Artykuł naukowy ukazał się na jesieni 2022 r. w recenzowanym czasopiśmie „Molecules”. Streszczając materiał, Adams wyraził zaniepokojenie odkryciem, gdyż w USA prawo wjechało w ciemne zaułki ultrakonserwatywności i osoby, które same sobie robią aborcję, podlegają karze. Na szczęście na razie władza w Polsce aż tak nie uczy dyscypliny patriarchalno-moralnej i (znowu) na razie przeszkadza tylko szamba i zagłada policyjnym okiem w dupy kobiet podejrzanych o chemiczną pomoc w eksmisji niechcianego zarodka. Prawdziwe z nas szczęściary, nie to co na tym zgniłym Zachodzie...

Pewien jednak, ukryty jak przyszc w brwiach, niepokój nakazuje pełną lęką czujność, dlatego jak Polska długa i szeroka samice wyszły na żer i postanowiły wyniuhać sprawcę zamieszania. Poniuchalam i ja.

Zupa z mifepristonu i kot na amfetaminie

Głównym autorem badania jest dr n. med. Paweł Szpot, adiunkt Katedry i Zakładu Medycyny Są-

dowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. W zespole są też Olga Wachelko i Marcin Zawadzki. Wszyscy przekonują w swojej pracy, że aborcja farmakologiczna jest niebezpieczna. Podobnymi bredniami można użyźnić Synaj. Kasa na badania pochodziła z uniwersyteckiej subwencji i wyniosła 80 tys. zł (na ten konkretny cel).

„Dostęp do aborcji farmakologicznej niesie ze sobą wiele kontrowersji o podłożu politycznym, etycznym i prawnym. W ostatnich latach zainteresowanie lekami wczesnoporonnymi wzrosło wśród kobiet decydujących się na przerwanie ciąży. Zażywanie substancji wczesnoporonnych zakupionych zwykle w Internecie, bez kontroli lekarskiej, wiąże się z ryzykiem wystąpienia ciężkich powikłań, a nawet śmierci. Zjawisko to w aktualnej sytuacji prawnej stało się problemem społecznym. W celu wyjaśnienia przyczyn poronienia prokuratura zleca stosowne ekspertyzy Zakładowi Medycyny Sądowej, w których dokonuje się zarówno badań toksykologicznych, jak i oceny makro- i mikroskopowej. Zwykle badania toksykologiczne obejmują analizy ukierunkowane na alkohol etylowy i środki odurzające. W celu pogłębienia diagnostyki toksykologicznej należy wykonać badania w kierunku obecności substancji wczesnoporonnych” – tłumaczy Szpot na łamach serwisu UMW, a ja coraz mniej wierzę w jego czyste intencje. Szczególnie w tym brudnym mentalnie kraju.

Dziewczyny z grupy Dziewuchy Dziewuchom uspokajają: „Mówimy o skomplikowanych, specjalistycznych, kryminalistycznych badaniach toksykologicznych wykonywanych na zlecenie organów sądu. W Polsce zażycie tabletek celem terminacji własnej ciąży jest w pełni legalne. Nikt nie ma prawa pobrać Twojego materiału biologicznego i skierować go do badań pod kątem obecności Mifepristonu i Misoprostolu (środki aborcyjne) bez Twojej zgody”. Kurwa mać, dziewczyny, a czy w tym kraju ktokolwiek pyta jeszcze kobietę o zdanie?

Na szczęście na siostrzane kolektywy zawsze można liczyć i w gruncie rzeczy tylko dzięki nim

zachować jakiejkolwiek poczucie względnego bezpieczeństwa.

Dodają jeszcze, że naukowiec badał już martwe ptaki pod kątem insektycydów, zajmował się też przypadkiem zatrucia amfetaminą i metamfetaminą u kota. I właściwie nie do końca wiadomo, skąd u toksykologa zainteresowanie aborcją. Może mu brakowało punktów do rozpoczęcia habilitacji. No nie wiem, mam mieszane uczucia. Mruczka, który się nawciągał fety, nie będzie ścigać prokuratura. Natomiast oczyma wyobraźni widzę rumieńce zadowolenia na gębie ministra Ziobry, kiedy kobieta z rządowym palcem w dupie będzie sobie posypywać głowę popiołem, że jednak coś tam łyknęła, ale prosi o łagodny wymiar kary.

A wszystko to

dzięki inicjatywie doktora Szpota, który zminimalizował ryzyko zażycia tabletki poronnej do porannej wizyty Centralnego Biura Śledczego w domu podejrzanego o spalenie płodu. Oddajmy mu dworski ukłon.

O, ni chuj!

Szczególnie że, jak wyczytałam w „Wysokich Obcasach”, „New York Times” podał za rzeczniką Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu, że w kilku miejscach w Polsce w pojedynczych sprawach od 2022 r. wykorzystano już metodę opracowaną przez zespół dr. Szpota.

Brzydkie słowo na „r”

Jeśli ktoś sądzi, że prokuratura grzebie w tkankach zarodków, żeby zbadać, czy ktoś nie „otrul” przyszyję mamusi środkami poronnymi wbrew jej woli, albo chce ścigać śliskich handlarzy podrobionymi środkami aborcyjnymi, to chyba nawciągał się czegoś wespół ze wspomnianym Mruczkiem.

Litera prawa stanowi, że w przypadku, gdy zarodek opuści przytulny hotel mamy przed 22. tygodniem ciąży, mówimy o poronieniu, natomiast po 22. tygodniu ciąży – o przedwczesnym porodzie. Stąd już tylko rzut łóżyskiem do postawienia kobiecie zarzutu morderstwa noworodka.

A mało co tak podnieca prawicowych ultrakatoli jak wszelkiej maści represje wobec niechętnych nowemu życiu dwunożnych inkubatorów.

Amerykański Konzern IBM, dzięki opracowaniu techniki kart perforowanych użytych podczas spisów powszechnych w 1933 i 1939 r., też się przysłużył precyzyjnemu śledzeniu pewnych grup społecznych dla pewnego wąskiego patrioty. Niby drobniarz, a konsekwencje smarkate.

W kraju rządzonego przez zapalczywych fundamentalistów zawsze warto trzymać rękę na pulsie i brzytwę pod poduszką. Czuwajcie, siostry i bracia, przynajmniej (miejmy nadzieję) do połowy października.

IDALIA DUBICKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Katolicka archidiecezja Rosario w Argentynie wydała oświadczenie w sprawie Ledy Bergonzi, 44-letniej aktywistki ruchu Oddech Żywego Boga, która zajmuje się uzdrawianiem poprzez nakładanie rąk. Leda stała się słynna w całej Argentynie po tym, jak w jednym z jej seansów wzięła udział matka piłkarza Lionela Messiego i jego brat. Seanse zostały przeniesione z terenu parafii, na której chętni przestali się mieścić, do lokalnego parku. Diecezja nie dystansuje się od cudownych uzdrowień, wręcz przeciwnie, podkłada nogę do kucia: „To zjawisko religijne, które rozwinęło się w ostatnich miesiącach, jest zjawiskiem występującym w ramach Kościoła katolickiego”. Działalności grupy „zawsze towarzyszą kapłani diecezji Rosario”, którzy „odprawiają msze, wysłuchują spowiedzi i błogosławią chorych”. A także, nie wątpimy, zbierają na tacę.

2. Według sondażu pracowni HarrisX republikański elektorat jest przekonany, iż Donald Trump to najbardziej religijny spośród kandydatów w wyborach prezydenckich 2024 r. 53 proc. republikańców uważa, że wielokrotnie oskarżany o molestowanie seksualne dziwnak, który zapłacił za milczenie gwiazdki porno, gdy jego trzecia żona była w ciąży z jego piątym dzieckiem, jest „człowiekiem wiary”. Trump wyprzedza Mike’a Pence’a, który mówi o sobie, że jest „chrześcijaninem, konserwatystą i republikaninem – w tej kolejności” (52 proc.); gubernatora Florydy Rona DeSantisa,

który zrobił ze swojego stanu obszar wojny kulturowej (47 proc.); o kilka długości wyprzedza też żarliwego katolika Joe Bidena, któremu religijność przypisało zaledwie 23 proc. republikańskich wyborców. Wyborcy GOP wierzą w wiarę Trumpa prawie tak samo jak w bożę.

3. Komisja Sprawiedliwości i Pokoju argentyńskiego episkopatu żąda uchylecia porozumienia między rządową Radą Badań Naukowych CONICET a RedTraSex – latynoamerykańskim stowarzyszeniem pracowników seksualnych. Chodzi o wspólną pracę nad sytuacją i bezpieczeństwem sex workerów. Zdaniem biskupów porozumienie „nie mieści się w ramach prawnych argentyńskiego prawa abolicyjnego”. Chodzi o „abolicję prostytucji”, uprzejmy termin oznaczający kryminalizację usług seksualnych. Biskupi oprostestowują zaangażowanie państwa w walkę o bezpieczeństwo argentyńskich prostytutek z troski o nie, powołując się na papieża: „Każda forma prostytucji to niewolnictwo, odrażający występ, który myli uprawianie miłości z folgowaniem instynktom poprzez torturowanie bezbronnej kobiety”. Lepiej od razu ją zabić.

4. 1 października weszła w życie ustawa stanu Maryland znosząca przedawnienie przestępstwa molestowania nieletnich. Dwa dni wcześniej archidiecezja Baltimore ogłosiła bankructwo. Jak wyjaśnia metropolita Baltimore abp William E. Lori, diecezja ucieka przed roszczeniami ofiar księży swawoli, ale czyni to dla ich dobra: „To najlepsza droga do sprawiedliwego zrekompensowania wszystkim ofiarom, biorąc pod uwagę ograniczone zasoby finansowe archidiecezji. Ogromne koszty sądowe, wysokie odszkodowania dla kilku ofiar wyczerpałyby nasze zasoby finansowe, pozostawiając ogromną większość ofiar bez odszkodowania, jednocześnie uniemożliwiając posługę duszpasterską dla marylandzkich rodzin, które na nas

polegają”. Lori nie wspomina, że dzięki temu diecezja uniknie głośnych procesów i publicznych zeznań ofiar księży pedofilów.

5. Dla społeczności LGBTQ+ Liban był przez długie lata bezpieczną enklawą na Bliskim Wschodzie. Jednak ostatnio, wobec kryzysu gospodarczego i coraz większych napięć społecznych, władze postanowiły zrobić z osób nieheteronormatywnych wroga publicznego numer jeden. Minister kultury zgłosił projekt ustawy zakazującej aktów homoseksualnych oraz „promocji homoseksualizmu”, politycy zaczęli wygłaszać homofobiczne przemówienia, zakazano gry planszowej „Węże i drabiny” za tężowe kolory na planszy, a film „Barbie” ocenzurowano, bo „promuje homoseksual-

ność”. Za prześladowanie odpowiadają nie tylko islamscy: w sierpniu ultrapravicowa chrześcijańska grupa Jnoud El-Rab (Żołnierze Boga) napadła na bar gejowski w Bejrucie. Ekstrema ponad podziałami.

6. „Psi patrol” to kanadyjska kreskówka o ludzkich i psich szczeniakach, które razem ratują swoją okolicę z różnych kłopotów, bardzo popularna wśród najmłodszych dzieci. Ostatnio do psiej bandy dołączyła nowa postać – River – która, jak wyjaśnia autor scenariusza, jest psem niebinarnym; dubbing tej postaci jest robiony przez niebinarnego aktora. Oczywiście żaden z oglądających serial trzylatków się nie połapie, za to połapała się jedna aktywistka grupy Milion Mam. I jest oburzona. „Chociaż płeć Riveru nie jest otwarcie wspomniana, informacje w mediach społecznościowych ujawniają intencje, które jej towarzyszą. Postać daje też subtelne wskazówki: ma różową, białą i jasnoniebieską kolorystykę flagi osób transpłciowych na skarpetkach i butach. River jest rażącą próbą normalizacji dzieci identyfikujących się jako niebinarne”. Zgroza.

7. Papież Franciszek odbył z młodymi azjatyckimi katolami telekonferencję zatytułowaną „Budowanie mostów w Azji Południowej”. Młodzież zadawała papieżowi pytania, na które odpowiadał z podziwu godną szczerością. Podzielił się na przykład opowieścią o tym, jak jako dziecko należał do grupy prześladowanej otyłego kolegi. Raz mu nawet przyłał tak, że spałak się przewrócić i tatuś kazał mu iść do grubasa i go przeprosić. Grubas wyrósł potem na pastora ewangelickiego i się pojednali, co „było piękne”. Papież powiedział też, że chirurgia plastyczna „nie ma sensu”, ponieważ „to piękno w końcu zniknie”. Ale zanim zniknie, pozwoli człowiekowi cieszyć się urodą, a przy okazji być może także uniknąć prześladowania i fizycznych napaści ze strony przyszłych hierarchów katolickich. Warto spróbować.



Rys. OBYWATEL JANEK

OBRAZKI JANINE

Ciszej nad tą ciążą

O seksie i aborcji kłamią Polki i Polacy, a Kaczyński nie kłamie. Tak stereotypizował wszystkich, że nie musi.

W badaniach socjoseksuologicznych nasi rodacy płci obojga przechwalają się pożyciem seksualnym. Gdyby temu wierzyć, to wyszłoby, że jesteśmy narodem królików. Ludzie w wieku 18–55 lat kopulują bowiem średnio dwa razy w tygodniu. Z innych badań wychodzi, że żadnej antykoncepcji nie stosuje połowa aktywnych seksualnie Polek. Gdyby wziąć do kupy tylko te dwie dane, to wyjdzie, że powinniśmy bić rekordy świata w rozmnażaniu się. Tymczasem dzietność spada na pysk.

Szacunki międzynarodowe mówią, że przy tej liczbie aktywnych seksualnie kobiet, takim podejściu do zapobiegania ciąży i rodzeniu ok. 300 tys. dzieci rocznie nie ma siły, żeby niechcianej ciąży nie przerywało rocznie grubo ponad 150 tys. Polek. Organizacje feministyczne mówią o liczbie o jedną trzecią mniejszej, czyli 100 tys. aborcji.

Jak wiadomo, niemal każde przerywanie ciąży jest w Polsce nielegalne. Jednocześnie jednak każdy sondaż pokazuje, że przeciwko aborcji jest niemal trzy czwarte naszej populacji. Czyli za przerywaniem ciąży jest ponad jedną piątą miłośników PiS.

W tym właśnie tkwi powód, że kwestii aborcji nie ma na sztandarach kampanijnych. I to zarówno w PiS, jak i na opozycji, gdzie na marszu miliona nie było pani Joanny.

Milczenie statystyk

Jeszcze w czerwcu Jarosław Kaczyński powtórzył strukturę państwa wytyczne na temat aborcji. Stwierdził, że obecne ustawodawstwo nie jest problemem, ponieważ „niemalże na każdym rogu w Warszawie i w wielu różnych miejscach można załatwić (aborcję) i nikt tego nie zwalcza”.

Powtórzył, bo państwo PiS samo z siebie ma nieformalny zakaz walki z przerywaniem ciąży. Ta hipokryzja ciągnie się od lat.

Policja i prokuratorzy mają działać tylko, gdy dostaną oficjalne powiadomienie. Same z siebie mają zostawić aborcję w spokoju.

Żadnych obserwacji gabinetów ginekologicznych i żadnej ingerencji w rozpowszechnianie usuwających ciążę medykamentów.

Gdyby spojrzeć na walkę państwa z aborcją w ujęciu statystycznym, to jej nie dostrzeżemy. W tym roku najgłośniejsza była sprawa pani Joanny, którą zakablowała lekarka, wypowiadając w rozmowie z numerem 112 magiczne słowo „aborcja”. To, że zdradziła tajemnicę lekarską, jest jej najmniejszą przewiną. Powinna jednak wiedzieć, że numer alarmowy to nie numer pogotowia, ale służb, które – niczym na lotnisku, gdy pasażer wspomina o bombie – natychmiast reagują tak, jak każą procedury. Te kazały na panią Joannę poszczuć policjantów. Policjanci zachowali się tak, jak mieli w broszurce. To znaczy głupio. Ale zgodnie z tym, co im się wtedy wydawało.

Po lipcu policjanci mieli szkolenia. Na nich zapowiedziano po raz kolejny, żeby na hasło „aborcja” reagować jedynie w ostateczności. A do kobiet podchodzić tak, jak podchodzi do księży.

Koń by poronił

Kaczyński mógł się wściec na ludzi Mariusza Kamińskiego nie tylko z powodu pani Joanny. Policja ośmieszyła się wcześniej już w dwóch z trzech tegorocznych przypadków interwencji aborcyjnych.

Gdy w marcu do kieleckiego szpitala przyjechała 29-letnia kobieta, to gliniarze zostali wezwani przez medyków, według których kobieta niedawno rodziła, natomiast nie było jasne, co stało się z dzieckiem.

Policja świętokrzyska rozdmuchała sprawę. W mediach brylowała mł. asp. Małgorzata Perkowska-Kiepas z Komendy Miejskiej Policji w Kielcach. Opowiadała, że zatrzymano partnera



Rys. TOMASZ WATER

kobiety za wspomaganie aborcji i ukrycie zwłok dziecka. „Policjanci udali się do miejsca zamieszkania kobiety i na posesji znaleźli martwy płód. Czekamy na wyniki sekcji zwłok płodu, które wyjaśnią, czy doszło do poronienia, czy przerywania ciąży” – relacjonowała na gorąco policjantka.

To, że chwilę później media donosiły, że zatrzymanych zwolniono, a żadnego płodu nie znaleziono do dziś, jest najlepszym dowodem na to, że przerywaniu ciąży z polityką informacyjną policji jest wybitnie nie po drodze.

Niemal w tym samym czasie policja pojawiła się w aptece w krakowskiej Nowej Hucie. Wezwała ją aptekarka, bo ktoś przyniósł receptę na 90 opakowań po 20 tabletek środka, którym można wywołać aborcję. Na coś takiego sumienie farmaceutki pozwolić nie mogło, a jej inteligencja, której brakło – wręcz przeciwnie. Facet miał bowiem receptę od weterynarza, bo chodziło o konia, któremu lekarstwo miało zwalczyć chorobę wrzodową. Wezwana policja zgarnęła właściciela chorego rumaka i przez kilka godzin maglowała go na okoliczność handlu substancjami wywołującymi poronienie, mimo że już po kilku minutach funkcjonariusze mieli zeznanie weterynarza, potwierdzające co i jak. Magiczne słowo „aborcja” wyraźnie zaczęło im coś w mózgach. Za to media mogły przez kilka dni z policjantów drzeć łacha.

Wzorcowo zachowali się gliniarze jedynie w sprawie 17-latkii, która będąc w 22. tygodniu ciąży, skorzystała z farmaceutyków, by się jej pozbyć. Coś jednak poszło nie tak i jej koleżanki zadzwoniły na 112, wypowiadając zakłęcie „aborcja”. Gliny przeszukały dom, zatrzymały telefon jej matki i koleżanek. Potem zaś przeszukiwały dziewczynę, by dowiedzieć jej nie aborcji, ale czegoś gorszego – dzieciobójstwa. Za to zaś grozi od trzech miesięcy do pięciu lat odsiadki. Ni stąd, ni zowąd przysłuchanie się skończyło, a funkcjonariusze zrobili „ukłon w sprawie dziewczyny” i sprawa poszła do niszczarki. Ktoś z góry im kazał?

Martwica wewnątrzmaciczna

Kilka przypadków spraw związanych z aborcją rocznie, gdy usuwa się u nas 150 tys. niechcianej ciąży, pokazuje, że Kaczyński wie, co mówi. Przerywanie ciąży jest dziś dostępne i tanie. Zamówienie tabletek w Holandii i ich zastosowanie jest w Polsce legalne. Cena nie przekracza 100 euro, dzięki czemu są w zasięgu większości kobiet. Dziesięć lat temu w badaniach CBOS wyszło, że aborcję miało od 4,6 do 5,9 mln Polek. Z tego samego badania można wyczytać, że „co najmniej jednokrotne przerywanie ciąży częściej deklarują kobiety gorzej wykształcone, niezadowolone ze swojej sytuacji materialnej, mające prawicowe poglądy i praktykujące religijnie”.

Wtedy aborcja farmakologiczna w Polsce była jednak w powijkach. Dziś, dzięki internetowi i paczkomatom, jest dostępna dla każdej zaciązo-

nej. Organizacje feministyczne u nas i za granicą codziennie przesyłają setki, jeśli nie więcej pakietów wywołujących krwawienie i skurcze. Oprócz

nich w sieci grasują sprzedawcy też te medykamenty oferujący, tyle że dużo drożej.

Pod rządami PiS dokonuje się u nas tyle aborcji, ile nie notowano od czasów komuny. Wszystko to jednak po cichutku, bardzo często pod kontrolą lekarza, który sprawdza, czy rzecz poszła tak, jak pójść powinna. Ci sami lekarze ostrzegają też pacjentki, że choćby nie wiem co, nie wolno im powiedzieć, że same wywołały aborcję. Gdyby przyszło z powodu nadmiernego krwawienia skorzystać z publicznej lub prywatnej służby zdrowia, obowiązywać ma termin „ból brzucha” i „samoistne poronienie”.

Nie ma bowiem niepisanego układu kobiet z władzą. Każde użycie słowa „aborcja” w przestrzeni publicznej zadziała tak jak hasło „Volde-mort” w „Harrym Potterze”. I jak u pani Joanny, i innych natychmiast pojawią się śmierciożercy w mundurach.

Na tym polega sukces Jarosława Kaczyńskiego: na wzbudzeniu strachu i obligującym medyków donosi-cielstwie.

To ten strach zabrania dokonać usunięcia martwych płodów z kobiet, by nie być podejrzanym o aborcję. To ten strach każe ludziom obsługującym telefon 112 zawiadamiać policję, gdy usłyszą o przerywaniu ciąży.

Dzięki hipokryzji PiS doszliśmy do sytuacji, gdy bez problemu usuwa się w Polsce dziesiątki tysięcy niechcianej ciąży, a nie można usunąć tych kilkuset bez mózgów. O trupkach w macicach nie wspominając.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Premier Mateusz Morawiecki wystąpił na konferencji prasowej w Wadowicach, gdzie wezwał Polaków do obrony dziedzictwa papieża z Polski. Czy to oznacza, że Polska zorganizuje i wyśle do Watykanu krucjatę w tej sprawie?

✦ To właśnie w Watykanie papież Franciszek prowadzi dewoitylizację. Spacyfikowane zostały dwie instytucje założone przez JP2: Papieski Instytut Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną w Rzymie oraz Papieska Akademia Życia. Co gorsza, pacyfikacji dokonał powołany przez Franciszka abepę Vincenzo Paglia. Paglia zasłynął z tego, że w swojej katedrze w Terni zamówił mural, na którym został uwieczniony nago w czułym uścisku z innym roznegliżowanym facetem. Poza tym dał się poznać jako zwolennik związków partnerskich, w tym par homoseksualnych. Podczas jednej z konferencji teologicznych skrytykował nazywanie rodziny „Kościołem domowym”, twierdząc, że jest to pojęcie wykluczające, a takiego określenia często używał Jan Paweł II. Paglia nazwał też ustawę aborcyjną we Włoszech filarem życia społecznego, deklarując, że włoski Kościół nigdy nie będzie dążył do zmiany prawa proaborcyjnego. Co pan na to, panie Mateuszu?

✦ U nas za to krótko z gejami. Przynajmniej w kościelnych deklaracjach biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak zapowiedział surowe kary wobec księdza, który urządził homoseksualną orgię w Dąbrowie Górniczej. Seksualna impreza z zaproszonym pracownikiem seksualnym odbyła się w mieszkaniu ks. Tomasza Z. w nocy z 30 na 31 sierpnia. Grozi mu podobno nawet wydalenie ze stanu kapłańskiego, ale to ostateczność. A do ostateczności rzadko dochodzi. Ponoć takie imprezki odbywają się w wielu parafiach, a ci w Dąbrowie Górniczej mieli o tyle pecha, że sprawa wyszła do mediów. My tam księżom orgii nie żalujemy, byle uczestnicy byli pełnoletni i wyrażali zgodę.

✦ Rodzice dzieci, które miały przystąpić do pierwszej komunii w bazylisce w Dąbrowie Górniczej, nie chcą, aby którykolwiek ksiądz z parafii, gdzie odbyła się seksualna impreza, prowadził przygotowania do sakramentu. Przenoszą uroczystość do innych parafii. A warto się tyle kłopotać? Po co wam te komunie, do diabła? Kupcie dziecku po fajnym prezencie, zróbcie imprezkę dla rodziny i wystarczy. Komunia się nie przyjmie.

✦ Sam ks. Tomasz nie ma sobie nic do zarzucenia. Gdy w jego intencji odbyło się nabożeństwo ekspiacyjne i wierni modlili się w katedrze w Sosnowcu, przepaszając za grzechy zgorszenia, nieczystości i zarozumiałości, napisał: „Postawa przepraszania przez niektóre osoby i instytucje za rzeczy i wydarzenia, które się nie wydarzyły. Kiedy prowadzone jest postępowanie wyjaśniające, zarówno ze strony cywilnej, jak i kościelnej, nie można nikogo skazywać przed wydaniem ostatecznego wyroku”.

✦ Niedługo rzymska sesja XVI Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów. Synod to dziecko papy Franciszka i jedno z najważniejszych przedsięwzięć, jakie Franciszek podjął w ramach swego pontyfikatu. Wybiera się nań abepę Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Wybiera się pełen obaw. Gądeckiego martwi wizja Kościoła „zainteresowanego zbytnim dopasowaniem się do istniejących demokratycznych struktur, jakie istnieją w społeczeństwie, a znacznie mniej realizacją swojej misji, która powinna być znakiem sprzeciwu wobec tego, co zewnętrzny świat proponuje”. Największe zagrożenie Gądecki widzi w próbach przeformowania podczas zbliżających się obrad kwestii diakonatu dla kobiet oraz zmianach nauczania o seksualności. Polski Kościół albo to łyknie, albo ogłosi schizmę. Moim zdaniem łyknie. Choć ze wstrętem i utyskiwaniami.

✦ Emerytowany bepe Stanisław Napierała z Kalisza krył księdza pedofila. Powinna wyjaśnić to prokuratura, i to w trzy miesiące, ale strasznie się ślimaczy. Podobno podwładni Ziobry czekają na biologiczne rozwiązanie problemu. Bepe Napierała ma 86 lat.

✦ Ksiądz z parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Bestwinie bił ministranta sznurkiem. Kuria księdza upomniwała. Może dlatego, że ksiądz bił po śladkach, nie po głowie.



wybrał KLECHA

Rys. WIDCET

Posłanka Kucharska-Dziedzic chce mi odebrać córkę.

Lewica: nowa Konfederacja

Kampania wyborcza od początku nie przypominała sklepu z delikatesami, raczej ruski rynek u schyłku PRL-u, na którym sprzedawano mięso z Azora udające koninę. Króluje zasada: byle sprzedać jak najmniejszym kosztem. Zysk uświeca środki.

O ile zabiegi te nie powinny dziwić w przypadku politycznych dorobkiewiczów, dla których walka o miejsce w sejmowym paśniku jest na śmierć i życie i łatwe dorobienie kilkunastu tysięcy złotych miesięcznie, o tyle podobne zachowanie u statecznych wyjadaczy o ugruntowanej pozycji wydaje się niesmaczne. Bardzo niesmaczne.

Szczególnym zaś niesmakiem napawa mnie fakt, gdy truchłem Azora pod postacią uprzedzeń, opakowanym w papier cnót wszelkich, handluje przedstawicielka partii z równością wypisaną na sztandarach. Zaiste, chujowy to deal. Fui. Napisałem wyżej „niesmaczne”? Gorzej, to obrzydliwe.

Pod Twoją obronę

Anita Kucharska-Dziedzic, założycielka i prezeska Lubuskiego Stowarzyszenia na rzecz Kobiet BABA, posłanka na sejm z województwa lubuskiego, dość rozpoznawalna twarz Lewicy, wydała wojnę alienacji rodzicielskiej (przynajmniej, że ta wojna trwa już jakiś czas, a ona konsekwentnie ją prowadzi). Zanim jednak komuś coś przeskoczy w klatce piersiowej, że partia oklejona sloganem „Mam serce po lewej stronie” ogarnie wreszcie w merytoryczny sposób pierdołnik dzieła władzy rodzicielskiej w związkach, w których emocje buzują jak zacier w baniaku, powinien zapoznać się z manifestem posłanki, który zamieściła w swoich social mediach, a którego przesłanie wcale nie jest takie oczywiste, jak by się mogło wydawać. No dobra, zrobię krótki spoiler: jest wysoce szkodliwe i beznadziejnie idiotyczne.

Kucharska-Dziedzic informuje, że napisał do niej „alienowany tata (wedle własnego określenia)”, i postanowiła mu odpowiedzieć, a tym samym innym tatom, w tym – jak rozumiem – także mnie.

Kucharska najpierw próbuje rozprawić się z pochodzącą z lat 80. teorią zespołu alienacji rodzicielskiej – inaczej syndrom oderwania od opiekuna; z angielskiego *parental alienation syndrome* (PAS) – amerykańskiego psychiatry dziecięcego i sędziego Richarda Gardniera. Najkrócej mówiąc, chodzi o to, że w trakcie rozwodu rodziców dziecko może być czynnie zaangażowane przez jednego z nich w proces niszczenia pozytywnych emocji do drugiego z rodziców. Najczęściej dzieje się to pod wpływem manipulacji. Jakoś tak się dziwnie dzieje, że statystycznie rzecz biorąc, najczęściej to matki zajmują się tym procederem. Nic na to nie poradzę.

Teoria była komentowana i krytykowana przez rozmaite środowiska psychoterapeutyczne, ale trwają nad nią badania (o czym Kucharska-Dziedzic, niestety, nie informuje swoich odbiorców, chociaż zapewne o tym wie, a jak nie wie, to może kiedyś doczyta).

Tematykę alienacji rodzicielskiej podjęli Demosthenes Loranodis i William Bernet w swojej książce „Parental Alienation – Science and Law”, wydanej w 2020 r. Definiują oni alienację rodzicielską jako „stan psychiczny dziecka, którego rodzice znajdują się w sytuacji konfliktowej, separacji, w trakcie rozstania lub rozwodu, a które silnie sprzymierza się z jednym z rodziców (preferowanym) i zrywa więzi z drugim z rodziców (wyalienowanym) bez uprawnionego uzasadnienia” – jest to nawet w Wikipedii, więc to żadna wiedza tajemna.

W Polsce badania nad problemem alienacji rodzicielskiej prowadził Instytut Ekspertyz Sądowych, a w polskich sądach akceptowane jest powoływanie się przez biegłych na objawy i zależności wynikające z relacji pomiędzy głównym opiekunem a dzieckiem opisane jako PAS.

Trzeba przyznać, że choć Kucharska-Dziedzic stwierdza, że „nie istnieje alienacja rodzicielska”, to przyznaje, że „istnieje zjawisko nastawiania dziecka negatywnie przez rodzica wobec drugiego rodzica”. To cieszy, choć prawdę mówiąc, jak zwał, tak zwał. Dla kogoś, nad kim wisi perspektywa niewidywania wcale albo widywania sporadycznie kochanego dziecka, z którym do pewnego momentu spędzało się każdy dzień od rana do wieczora, różnica żadna – mówię z własnego doświadczenia, pani Anitko.

Dodam jeszcze, że według badań stres spowodowany rozdzieleniem z dzieckiem po rozwodzie jest silniejszy niż z powodu śmierci bliskiej osoby z rodziny.

Tyrania przypadku

„A w polskim sejmie, alienowani tatusiowie („tatusiowie” – jakież przemysłne zastosowanie zdrobnienia jako celowej inwektywy, tatuś to ktoś mniej poważny od ojca, czujecie to? To tak, jakby napisać:

„A w polskim sejmie wyszczekani poselczykowie” – W.K.), macie swoich obrońców, którzy opowiadają, że bicie dzieci krzepi, że dzieci mają się rodziców bać, że alimenty mają być dobrowolne, a kontakt z pedofilem rozwija dziewczynki seksualnie i uczy je wstydu.

Macie, alienowani tatusiowie, swoich posłów. Macie swoje sądy. Macie swoich wyznawców wysyłających mi opisy tego, co i czym mi robią, jak mnie spotkają – od dwóch lat, od kiedy zajmuję się tym tematem intensywnie. Matki alienatorki mają mnie. I jedyną metodą na zapobieżenie krzywdzie rodziców izolowanych od swoich dzieci jest

oddanie decyzji dzieciom, których wedle teorii alienacji rodzicielskiej – słuchać absolutnie nie należy. Bo kłamią wg Gardniera. Otóż ja wierzę dzieciom” – pisze posłanka Lewicy, która określa się mianem „ceniającej ideę wolności, równouprawnienie i demokrację”. Tak przynajmniej pisze o sobie samej na stronie internetowej, chociaż podług powyższego teorii od praktyki oddziela szczerlina znacznie głębsza od Rowu Mariańskiego.

Dzieci mają swoje prawa, należy dać im głos, są osobnym bytem, a nie własnością jednego czy drugiego rodzica – wszystko to prawda. A przede wszystkim nie są własnością posłów na sejm, którzy wycierając sobie gęby troską o ich dobro, idą po trupach do celu. A to dopiero początek tego marszu: „I tak, wiem, że są fałszywe oskarżenia i są matki, które mają tak wielki żal w sobie do swoich byłych partnerów, że chcą ich wykreślić ze swojego życia i życia ich wspólnego dziecka. Te dzieci będą miały kiedyś wielki żal do matek. Ale to wszystko nie usprawiedliwia krzywdy dzieci, które się »doprowadza« na kontakty i »przekazuje« do pieczy. Traktuje się te dzieci jak przedmioty”.

I dochodzimy do clou wypowiedzi pani Anitki: „Tak, wolę dziesięciu skrzywdzonych fałszywymi pomowieniami ojców niż jedno zgwałcone dziecko. Bo tych dziesięciu ojców wróci w chwałę, jako ofiary pomówień, ale to jedno dziecko już na zawsze pozostanie z piętnem gwałtu na dziecięcej duszy i ciele”.

Zamurowało mnie. Toż to zawołanie z czasu wojny w Langwedocji z XIII w., gdy papież Innocenty III zdecydował przeprowadzić krucjatę i wyrzucić katarów. Wówczas to, według legendy, namiestnik papieski opat Arnaud zapytany przez

krzyżowców, jak mają rozpoznać heretyków, którzy, wykorzystując to, że są przemieszczeni z katolikami, mogą się pod nich podszywać, a później powrócić do wiarołomstwa, miał odpowiedzieć: „Zabijcie wszystkich! Bóg rozpozna swoich”. Dokładnie to

mówi tym samym posłanka Lewicy Anita Kucharska-Dziedzic: odbierzcie po rozwodach dzieci wszystkim ojcom. Trudno, jakoś to przeżyją. Ocalimy te pokrzywdzone. Bar-dziej kuriozalnej, ciemnogrodzkiej, bezczelnej, cynicznej i idiotycznej wypowiedzi nie czytałem dawno.

„Każdy tata, który walczy z mamą o prawo do widywania dziecka, a który nie ma na własnym sumieniu żadnej krzywdy zrobionej dziecku, niech się dobrze zastanowi, czy na teorię Gardniera powinien się powoływać?” – finiszuje w swoim wystąpieniu Kucharska-Dziedzic, a ja odpowiem: nie powinni się powoływać ani na teorię, ani na posłankę Lewicy. Tfu!

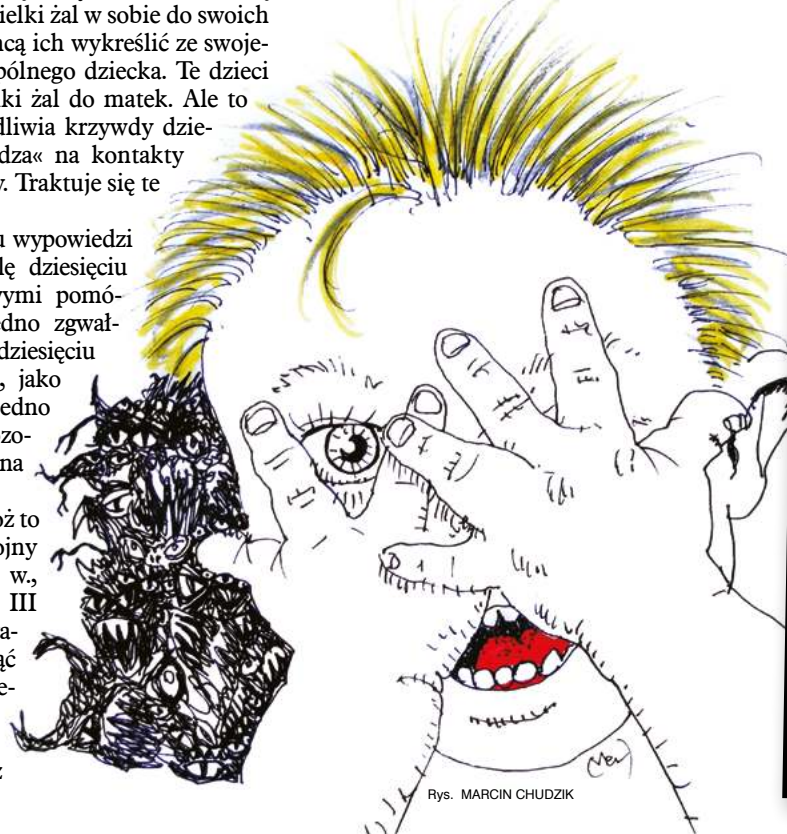
Betonowa Mamba

Skład Parlamentarnego Zespołu ds. Przeciwdziałania Alienacji Rodzicielskiej może przyprawić o mdłości i dreszcz obrzydzenia: przedstawiciele Konfederacji: Grzegorz Braun, Dobromir Sośnierz, Janusz Korwin-Mikke i Robert Winnicki plus jeden rodzynek z Koalicji Obywatelskiej Tomasz Głogowski. Ale Kucharskiej-Dziedzic w nim nie ma. Nie ma nikogo z Lewicy. Nie założyli własnego zespołu. To o co ma pretensję, że „macie, alienowani tatusiowie, swoich posłów”? Otóż po pierwsze, alienowani tatusiowie mają takich obrońców, jakich mają, bo kto inny nie chce ich brać w obronę, na pewno nie Kucharska-Dziedzic i Lewica, a po drugie, wcale nie mają.

Zespół w ciągu przeszło trzech lat swojego istnienia zebrał się cztery razy i gównem ustalił. Co gorsza, nikt inny nie pochylił się nawet o ćwierć centymetra nad problemem.

Niemniej jednak to, że Kucharska-Dziedzic zarzuca „alienowanym tatusiom”, jak zbiorowo cały czas nazywa ojców izolowanych od dzieci (aj, waj, jak ładnie, ironicznie, sarkastycznie, od razu ustawa przeciwnika w narożniku, aby łatwiej było walić go wysokim obcasem w podbrzusze), wsparcie konfaryz, zakrawa na taką samą kpinkę jak infantylizowanie problemu i sprowadzanie go do nazewnictwa. Czy każdy izolowany ojciec powołuje się na teorię Gardniera? Wątpię, żeby chociaż część z nich w ogóle o niej słyszała.

Ośmieszanie wszystkich ojców to banalny argument szynkowo-kiełbasiany wystawiony na skuszenie kobiecego elektoratu. Tylko na tyle panią stać, pani posłanko?



To, że w mowie potocznej zagnieżdziło się takie, a nie inne określenie, jest bardziej dziełem przypadku niż rezultatem studium terminologii „alienacji rodzicielskiej”. Co za tym idzie, wpierdalanie każdego przypadku do jednego wora jest tak samo szkodliwym i obrzydliwym działaniem jak określanie wszystkich obcokrajowców z Bliskiego Wschodu mianem terrorystów i gwałcicieli.

Ale kto by się przejmował, politycy to właśnie taka kategoria ludzi: są praktyczni, a im bardziej praktyczni, tym większy wychodzi z nich prymitywizm.

Kucharska-Dziedzic przytacza w swoim wpisie makabryczne historie dzieci maltretowanych i wykorzystywanych seksualnie przez swoich ojców. Stała po stronie pokrzywdzonych (chwałebne), ale przy okazji uznała, że warto na tym polu zasiać kreatywny obiektywizm, bo a nuż się oplaci.

Czy posłanka Lewicy powiedziała by w twarz kobiecie fałszywie oskarżonej o molestowanie własnego dziecka, że warto było w imię wyższego dobra, bo wróci w chwałę jako ofiara pomówienia? Wróci skąd? Z pierdła? Do kogo? Dziecka, które nie będzie chciało takiego rodzica znać? Czy sama, będąc pomówiona o czyn tak haniebny, wzięłaby to na klatę, tak jak wymaga tego od innych?

Trudno uwierzyć w walkę o głos dziecka, kiedy głównym argumentem w dyskusji jest ustalenie płci przemocy, sprowadzenie jej do teorii, że absolutnie wszystkiemu i w każdej sytuacji winni są tylko mężczyźni, bo wzrok pani posłanki dalej nie sięga.

Zastanawia mnie, jaką argumentację przyjmie pani posłanka, jeśli (daj Boże nieistniejący) Polska wyjdzie kiedyś z prawicowego ciemnogrodu i zalegalizuje małżeństwa jedнопłciowe. Co się stanie, jeśli jeden z ojców zabierze dziecko drugiemu i utrudni kontakty? Który będzie wtedy pokrzywdzony, a który zły?

Lewicę, której swoim wywodem twarz przyprawiała Kucharska-Dziedzic, i Konfederację, coś łączy; ambicja twardsza niż godność popycha obydwa ugrupowania do kreowania alterrzeczywistości.

Każde na cyngiel wzięło pleć, którą gardzi, i uprawia żenującą walkę basiorów w przetrąconymi kręgosłupami moralnymi, mając w dupie dobro społeczne.

Gorące tętnice

Kucharska-Dziedzic na niedawnym Kongresie Kobiet zapowiedziała: „Jak jeszcze raz usłyszę, że są w tym kraju matki alienatorki, to przegryzę tętnicę, słowo daję”. Ja, Waldemar Kuchanny, powiadam: „W tym kraju są matki alienatorki”. Jednocześnie informuję, że czekam z odsłoniętą tętnicą. Dla komfortu higienicznego posłanki przemylem skórę octeniseptem. Być może niepotrzebnie, bo raczej traktuję jej słowa jak słowa puszczone na wiatr, rodzaj metafory.

Byli już tacy, którzy chcieli ograniczyć moje kontakty z córką. Dałem im skuteczny odpór bez odwoływania się do pomocy kogokolwiek. Stąd wiem, że walka ojca o kontakty z dzieckiem w tym kraju nie jest prostą sprawą, m.in. przez takie osoby jak Kucharska-Dziedzic. Wymaga więcej zachodu i determinacji niż pyskowanie na rozmaitych konwektyklach. Ale jeszcze mi tej determinacji na tyle zostało, że gdyby pojawił się ktoś nowy z podobnym zamysłem, to nie wróżę mu sukcesów.

Kiedy czytałem wywody Kucharskiej-Dziedzic, pomyślałem, że taka osoba absolutnie nie powinna zasiadać w parlamencie ani pełnić żadnych funkcji politycznych. To doprowadziło mnie do myśli, że partia wystawiająca taką osobę na listę wyborczą, i to na pierwszym miejscu w okręgu, nie zasługuje na przekroczenie progu.

Jeśli taka ma być Lewica jak Kucharska-Dziedzic, to ja dziękuję.

WALDEMAR KUCHANNY

- Według wszelkich statystyk ok. 1/3 małżeństw w Polsce kończy się rozwodem.
- Ok. 55 tys. dzieci w wieku do 18 lat jest uwikłanych corocznie w rozwód rodziców.
- Podczas orzekania przez sądy opieki nad dzieckiem w ok. 90 proc. ta orzekana jest na rzecz matki.
- Od wielu lat w polskim parlamencie dyskutowany jest projekt o tzw. pieczy naprzemienną jako obligatoryjnym rozwiązaniu przy orzekaniu rozwodu (dziecko jest raz z matką, raz z ojcem). Jest to rozwiązanie popularne w USA i krajach Europy Zachodniej. Uznawane przez psychologów jako najkorzystniejsze dla dzieci. Projekt w Polsce od lat jest torpedowany przez środowiska zarówno prawicowe, jak i kobiece.

Lewica zapomina o ludziach PRL.

Komuno, wróć!



Na początku września na łódzkiej konwencji Lewicy Włodzimierz Czarzasty przy okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej ogłosił, że „pamiętamy o ludziach, którzy odbudowali Polskę” i „jesteśmy z nich dumni”. Kłopot polega na tym, że gówno prawda.

Obrona ludzi Polski Ludowej – jedna z najważniejszych misji, ale też i źródeł kapitału politycznego lewicy po 1989 r. – kompletnie znikła ze sztandarów i przekazu lewicy obecnej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że obecna lewicowa koalicja uważa, że stare komuchy wymarły i nie ma co do nich gadać. Tymczasem wiadomości o śmierci ludzi PRL są mocno przesadzone.

Co czwarty Polak jest dziś po sześćdziesiątce – to prawie 10 mln ludzi. I owszem, seniorzy w olbrzymim odsetku popierają PiS, ale przecież lewica nie walczy dziś o samodzielną większość. Każdy punkt procentowy jest cenny.

Jestem dziwnie pewna, że obecna władza nie ma wsparcia byłych funkcjonariuszy, okradzionych ustawą dezubekizacyjną, i ich rodzin, podobnie jak nie cieszy się sympatią w domach policjantów wyjebranych ze stanowisk w 2016 r. tylko za to, że zaczęli służyć w Milicji Obywatelskiej. PZPR w roku 1980 miała trzy miliony członków; w karnawale Solidarności i stanie wojennym wystąpiła (jak można domniemywać, z przyczyn ideologicznych) z niej zaledwie jedna czwarta. Kiedy Mieczysław Rakowski kazał wyprowadzić sztandar, w partii nadal były dwa miliony ludzi. Nie ma badań dotyczących tego, w jakim byli wieku i ilu z nich jeszcze żyje ani tym bardziej co dziś myślą o swoich politycznych wyborach z młodości. Jeśli jednak w 2008 r. w badaniu OBOP 19 proc. Polaków oceniało rolę PZPR w historii Polski pozytywnie, to można podejrzewać, że spora ich część miała gdzieś w szufladzie starą czerwoną legitymację. Takich jak ja postkomunistów honoris causa, którzy pokochali Polskę Ludową dopiero wtedy, kiedy wyzionęła ducha, pewnie nie jest za wiele, ale też się zdarzają. Dla nich wszystkich milczenie „postkomunistycznej lewicy” na temat komunizmu jest wysoce rozczarowujące.

Niedawne badanie OKO.press z podziałem na „dzieci III RP” i „dzieci PRL” – czyli ludzi przed pięćdziesiątką i po pięćdziesiątce – pokazuje ciekawą tendencję. Otóż o ile w sejmie wybranym przez tych drugich PiS rządzi niepodzielnie (zdobywa 315 mandatów), to lewica jest jedyną siłą spoza duopolu, która w ogóle wchodzi (z 5 proc.). Trzecia Droga ma wśród starszych wy-

borców 3 proc. poparcia, Konfederacja – 1 proc. Zaryzykowałabym tezę, że dla ludzi po pięćdziesiątce najatrakcyjniejszym elementem lewicowości nie jest wymiar obyczajowy, taki jak prawa osób LGBTQ+ czy nawet legalna aborcja, które wyraźnie zwiększają jej poparcie w młodszych grupach; że część z tych, którzy pamiętają PRL, chce w głosowaniu dać wyraz sympatii dla poprzedniego ustroju.

Powtórzmy: Lewica nie gra dziś o wszystko, o sejmową większość. Realnie walczy o dwucyfrowy wynik, pozycję starszego młodszego koalicjanta i o to, żeby przeskoczyć Trzecią Drogę. W tej sytuacji zaniedbywanie ludzi Polski Ludowej, stanowiących przez lata jej żelazny elektorat, jest głupie i krótkowzroczne. Dwa razy lewica dostała już za to w tyłek: wystawiając Magdalenę Ogórek (tak, wiem, ciszej nad tą trumną) oraz Roberta Biedronia, którzy dostali odpowiednio 2,38 i 2,22 proc. głosów. To nie znaczy, że stare komuchy całkiem wymarły. To znaczy, że się obraziły na partię. Skądinąd słusznie. Nie powtarzajcie tego błędu, towarzysze!

Nikt poza ludźmi lewicy – a dokładnie ludźmi dawnego SLD – nie ma wiarygodności wobec grupy, która była systematycznie dyskryminowana przez oba prawicowe obozy. Narracja PO i PiS wobec Polski Ludowej specjalnie się od siebie różni. Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – którzy może mordowali Żydów, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, ale przede wszystkim działaczy, żołnierzy i milicjantów komunistycznego państwa – PO i PiS wprowadziły ramię w ramię: zaczął Kaczyński, dokończył Komorowski. Pierwszą ustawą dezubekizacyjną, wprowadzającą zbiorową odpowiedzialność i odbierającą emerytury

za samą przynależność do służb specjalnych PRL, przyjął rząd PO w 2008 r. W porównaniu z tym, co zrobił PiS, była dość łagodna, ale znaczy to tyle co najciotliwsza kurwa w burdelu.

...

Polska Ludowa robiła wiele rzeczy serio: odbudowywała stolicę, przeprowadziła reformę rolną, walczyła z analfabetyzmem, zorganizowała potężny mechanizm szerokiego awansu społecznego, budowała 300 tys. mieszkań rocznie. Inne rzeczy robiła nie serio: budowała socjalizm, przyjaźniła

się ze Związkiem Radzieckim, zwalczała religię i Kościół, dłała wolność słowa. A jeszcze inne robiła niechętnie: i do tych, z wyłączeniem stalinizmu, należą pilnowanie ideologicznej czystości i eliminowanie wrogów ustroju.

Polska Ludowa była najlepszym krajem, jakim mogła być w tym momencie historycznym w tym miejscu na Ziemi. III RP – eseldowska, platformiana czy pisowska – nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

Lewica powinna mieć odwagę to powiedzieć.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Przeczytałam ostatnio trzy mocno różniące się książki, które łączą jedno: spojrzenie na Polskę Ludową odmienne od podręcznika do HiT.

Ekke

Książka Ekkego Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział” jest poświęcona przede wszystkim udowodnieniu tezy zawartej w tytule. Ale jest tam też kilka rozdziałów rozprawiających się z tezą, iż Kościół kat. był w PRL prześladowany *per fas et nefas*, z naruszeniem prawa i prawdy. Overbeek przytacza rozliczne przykłady sytuacji, w których księża, podejrzewani o przestępstwa natury seksualnej, byli obiektami obiektywnego rzetelnego śledztwa. Po spędzeniu kilku lat w archiwach IPN nad tajnymi aktami bezpieki Overbeek nie znalazł „ani skrawka informacji sugerującej, że władze komunistyczne oskarżały księży o molestowanie nieletnich na podstawie podrobionych dowodów”. Podaje też przykłady wskazujące, że MO i SB nierzadko rezygnowały z zawiadomienia prokuratury, jeśli nie udało im się zebrać wystarczających dowodów; prokuratura nie zawsze przyjmowała materiały milicji czy bezpieki, a sądom zdarzało się uniewinnić księży, uznając, że prokuratura nie udowodniła dostatecznie swoich zarzutów. Zdarzało się także, że SB i MO posiadały wiedzę operacyjną, ale sprawa nie trafiała do sądu, bo świadkowie odmawiali zeznawania. Nikt ich nie zmuszał.

Z drugiej strony, ewidentne przestępstwa księży, za które słusznie szli siedzieć, były – na bieżąco przez Kościół, a dziś przez przykościelnych historyków – tłumaczone jako prześladowania polityczne. Mój ulubiony przykład to historia księdza Kocańdy spod Wadowic, który w 1959 r. dostał grzywnę zamienną na 125 dni więzienia i zakaz nauczania w szkole za bicie dzieci skórzanym biczem o długości 45 cm. Książd przyszedł w sądzie, że bije dzieci, ale nie miał sobie nic do zarzucenia, bo „uczynił to za zgodą rodziców”. Wyrok ten jest opisany w analfach jako komunistyczna represja wobec księży – zauważa Overbeek.

Eile

Druga książka o PRL, którą przeczytałam tego lata, to „Marian Eile. Pocziwy cynik z „Przekroju” Mariusza Urbanka. Opowiada życiorys twórcy krakowskiego tygodnika, co naturalnie nie może się obejść bez portretu czasów, w jakich tygodnik funkcjonował. Pierwszy numer „Przekroju” wyszedł 15 kwietnia 1945 r., pismo przeżyło ponury okres stalinizmu, a później przaiśne i też niewesołe lata Gomułki. Eile odszedł z „Przekroju” w 1969 r. i wtedy też kończy się książkowa opowieść o peerelowskiej prasie. Morał z tej opowieści jest taki, że ani gomułkowszczyzna, ani nawet stalinizm nie były takie, jak je malują bojownicy pióra z IPN. Że nawet jeśli ustrój wymagał od gazet obowiązkowej dawki partyjnych hołdów i obwieszczeń, to obok nich mogły funkcjonować inteligentna publicystyka, w miarę swobodna wymiana myśli i punktów widzenia, a także dekadenska rozrywka rodem z Zachodu. Oficjalnie sankcjonowane enklawy intelektualnej wolności.

Eile zresztą miał na pytanie o produkcyjniaki wyprzedzającą epokę odpowiedź: „Zadne pismo na świecie nie może się utrzymać bez ogłoszeń. Daję w numerze cztery strony ogłoszeń, żeby „Przekrój” mógł wychodzić i żeby na pozostałych stronach mógł drukować to, co chcę. Na Zachodzie zamiesz-

czają reklamy Coca-Coli, żeby przeżyć. Ja w tym celu publikuję zdjęcie portretowe Stalina”.

W ponurym 1952 r. Eile został zarejestrowany jako współpracownik Urzędu Bezpieczeństwa. W jego późniejszej charakterystyce funkcjonariusz tak wspominał owoce tej rejestracji: „W toku współpracy nie przekazywał żadnych wartościowych materiałów, nie przychodził na spotkania i nie wykonywał poleceń mu zadań przez pracownika UB”. A na koniec naczelny „Przekroju” „zażądał, żeby ubecy przestali się z nim kontaktować, bo nic o sprawach, które ich interesują, nie wie”, w efekcie czego „został wykreślony z sieci agenturalnej”, co nieco podważa opowieść o zgromadzeniu, jaką siał UB, a także kompletnym podporządkowaniu społeczeństwa, a zwłaszcza jego luminarzy, wszechmocnemu po- noć urzędowi.

Podobnie zresztą cierpi w książce Urbanka wizerunek wszechwładzy partii: redaktor naczelny najpoczytniejszego tygodnika w Polsce Ludowej był i pozostał przez całe życie bezpartyjny. Mało tego, pilnował, żeby w „Przekroju” nie pracowało więcej niż dwóch członków PZPR, co gwarantowało, że nie założą mu podstawowej organizacji partyjnej, która musiała liczyć trzy osoby.

Urban

I wreszcie trzecia książka, którą pragnę polecić stragotom politycznym Lewicy i wszystkim Państwu, to wydana właśnie biografia Urbana, zatytułowana zaskakująco „Urban. Biografia”, autorstwa Doroty Karaś i Marka Sterlingowa. Wydawca książkę, Znak, reklamuje ją dość dziwnym komunikatem: „Wielowymiarowy portret najmroczniejszej postaci powojennej Polski”, co może zaskakiwać, zważywszy że niezależnie od tego, z której strony by się patrzyło, „najmroczniejsza” wydaje się nadmiernym komplementem. Antykomuniści chyba powinni za „mroczniejszych” znać przywódców PRL – do wyboru: Bierut lub Jaruzelskiego, czy też szefów służb specjalnych PRL od Bermiana po Kiszczaka. Postępowcy wskazyliby tu rozmaitych kościelnych dostojników, którzy kryli albo i popełniali seksualne zbrodnie i konsekwentnie przeli po 1989 r. pracowali nad zatopieniem naszego kraju w ciemnościach wyznaniowych, a większość zwolenników dzisiejszej „demokratycznej opozycji” bez wahania wskazuje Jarosława Kaczyńskiego. Z drugiej wszakże strony Urban byłby zapewne zachwycony tym przymiotnikiem, więc nie będę z nim polemizować.

Historia Urbana niesie w sobie pytanie: jak możliwy w tamtej Polsce był ktoś taki jak Urban. Upiornie niezależny, bezwzględny w swoim przywiązaniu do intelektualnej wolności, programowo łamiący wszystkie tabu. Prawda, zdarzyło mu się dostać zakaz pisania, ale przecież nie trafił po nim do kopalni. Pisywał pod pseudonimami, które były doskonale znane wiadomym służbom i jakoś włos z głowy nie spadł ani jemu, ani tym, co go drukowali. Później, kiedy przeszedł na drugą stronę i był rzecznikiem władzy – zdarzało mu się na konferencji prasowej sprostować informację, którą podał wcześniej, jeśli dowiedział się, że MSW wprowadziło go w błąd. I znów: wyobraźcie sobie, że rzecznik Müller albo Boche- nek informuje znieścacka dziennikarzy, że mówił nieprawdę, bo polscy pogranicznicy rzeczywiście przerzucili ciężarną uchodźczynię przez drut kolczasty na Białoruś... Cenzura w organach „wolnych mediów” oraz „strefy wolnego słowa” jest znacznie szczelniejsza niż za komuny, kiedy dziennikarze powadżili inteligentną grę z Mysią, a redakcje ich w tym wspierały, jak choćby w „Przekroju” czy „Polityce” Rakowskiego. Dziś redakcje same wykonują wyroki na nieprawomysłnych, o czym przekonuje się na co dzień wyklęte bractwo symetrystów.

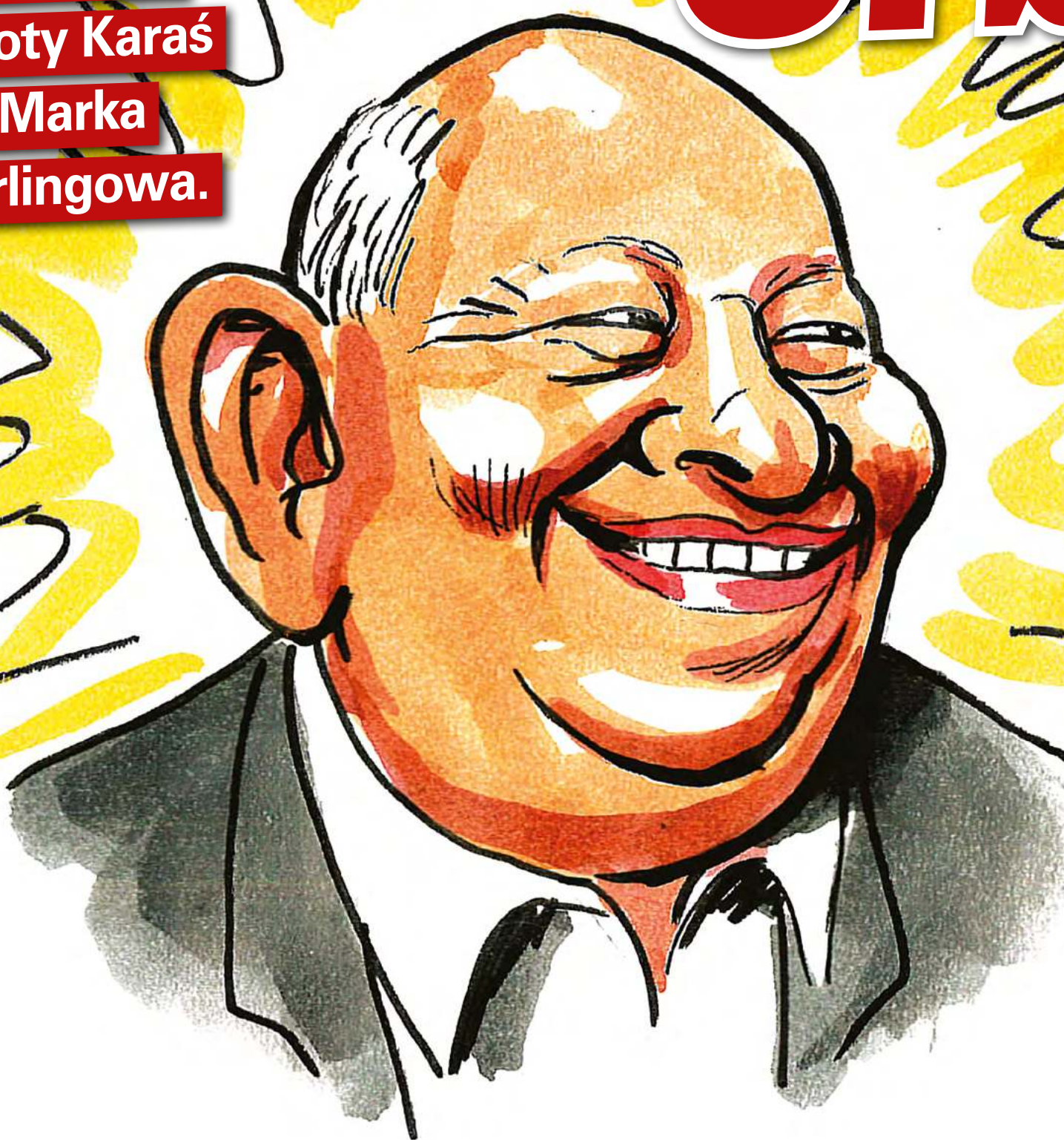
AWŁ



**Fragmenty
książki „Urban.
Biografia”
Doroty Karaś
i Marka
Sterlingowa.**

Urban

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI



**wstaje rano, je ś-
niadanie, pisze, aż
mu się zachce spać,
idzie na obiad, kła-
dzie się na
drzemkę, potem
znów siada do ma-
szyny. Wieczorem,
żeby szybko za-
snąć, upija się
whisky.**

Los Urbana i jego żony odmienia spotkanie ze Złotą Rybką. Mężczyzna został obdarzony tym przydomkiem dzięki wyjątkowej umiejętności spełniania życzeń. Delikwenci, z którymi ma do czynienia, pragną zawsze tego samego: pieniędzy.

– Dzień dobry, nazywam się Roman Górski. Czy pan Urban?

– Przy telefonie.

– Jestem wydawcą. Mam dla pana zaliczkę – mówi Górski.

– A za co? – dziwi się Urban. W dalszym ciągu nosi granatową piżamę z licznymi dziurami.

Rozmówca obiecuje, że powie, ale nie przez telefon. Zaprasza Urbana do hotelu Marriott, tam przedstawi mu swój pomysł. Zanim odłoży słuchawkę, rzuca od niechcienia, że wydał właśnie książkę „Przerwana dekada”. Ta informacja elektryzuje Urbana – wywiad rzeka z Edwardem Gierkiem autorstwa Janusza Rolickiego jest wydawniczym hitem.

...

Były pierwszy sekretarz od lat nie wypowiada się publicznie. Przez ekipę Jaruzelskiego został obarczony winą za doprowadzenie do kryzysu gospodarczego. W stanie wojennym był internowany, groził mu Trybunał Stanu. W rozmowie z Rolickim Gierek wyrzuca z siebie całą narastającą przez dziesięć lat frustrację. Obrywają Jaruzelski i Wałęsa, czyli najbardziej wpływowi ludzie w Polsce, dostaje się też pomniejszonym luminarzom. W prasie krążą fragmenty książki i plotki dotyczące tego, kto powinien jej się bać. Rolicki i Gierek zostają pozwani do sądu jeszcze przed publikacją.

Wieści o kłopotach spółki autorów dochodzą do Romana Górskiego, byłego działacza OPZZ, który wraz ze współnikami zajął się działalnością wydawniczą. Zaproponował Rolickiemu, żeby przeniósł książkę do niego.

W podobnie brawurowy sposób przekonał drukarzy w Pile, by puścili wywiad z Gierkiem bez kolejki. Każdą istotną rozmowę Górski zaczyna od położenia na stół paczki pieniędzy.

„Przerwana dekada” trafia najpierw na bazy, potem na rozstawione na ulicach łóżka polowe, które są podstawowymi punktami handlowymi. Dystrybuują ją nawet harcerze, którzy chcą zarobić na letnie obozy. W chwili gdy Urban z Górskim jedzą befszytk w Marriottcie, liczba sprzedanych egzemplarzy wywiadu z Gierkiem sięga już miliona. W Polsce to rekord wydawniczy.

...

– Sto tysięcy dolarów – mówi Górski. – Tyle pan zarobi za książkę dla mnie.

– Jaką? – Urban jest zdziwiony. Trudno mu sobie wyobrazić, żeby miał jeszcze jakieś tajemnice warte takich pieniędzy. Przez ostatnie lata mówił i pisał wszystko, co przyszło mu do głowy.

– „Alfabet Urbana” – ogłasza Górski.

– Szukającego pracy dziennikarza nie trzeba nawet przekonywać. Oprócz „Przerwanej dekady” wydawniczym hitem ostatnich miesięcy jest „Abecadło Kisielewskiego”. Stefan Kisielewski opisuje w nim postacie publiczne, z którymi się zetknął. Notki są złośliwe, dosadne i dowcipne – ten się ześwinił, tamten był tchórzem, a do tego idiota. Ta o Urbanie jest krótka:

„Nie lubię, ale jest to zřejczny na swój sposób socjotechnik. Tylko że bujacz i cynik. Ale dziennikarzom zagranicznym się podoba. Więc widocznie dlatego jest, że się podoba. Ja nie gustuję specjalnie”.

Wyrok szanowanego felietonisty „Tygodnika Powszechnego” jest swoistym świadectwem moralności. Urban i Kisiel wielokrotnie polemizowali na łamach gazet, zawsze należeli do przeciwnych obozów. Były rzecznik Jaruzelskiego jest równie złośliwy i dowcipny, a w dodatku zna więcej osób ze świecznika niż ktokolwiek inny. Pomysł Górskiego, żeby napisał swój alfabet, wydaje się strzałem w dziesiątkę.

– Książka, żeby się sprzedała, musi wyjść zaraz – tłumaczy Górski. – Ma pan trzy tygodnie.

Urban nie zamierza zwlekać. Podobają mu się zarówno pomysł, jak i pieniądze Górskiego.

– Dokończę tylko befszytk – mówi.

Po powrocie do domu Urban odsyła granatową piżamę na emeryturę i chwytą za słuchawkę tele-

fonu. Koniec z interesami, na których się nie zna. Znow wiąże swoją przyszłość z prasą. Nie chcą go na żadnych łamach? Pieniądże od Złotej Rybki pozwalają myśleć o założeniu własnego tygodnika.

Czas spędzony w piżamie nie okazał się stracony. Urban wie dokładnie, co chciałby zrobić. Jego nowe pismo ma być polską wersją francuskiego „Le Canard enchaîné” (po polsku nazwa ta znaczy „Kaczka na łańcuchu”). To zjadliwy tygodnik polityczny z długą tradycją (ukazuje się od 1915 roku), który nie jest ani lewicowy, ani prawicowy, otwarcie krytykuje wszystkich i bez skrupułów kpi z każdej świętości. Informacje są podawane w lekki, zabawny sposób. Urban nie chce tworzyć drugich „Szpilek”, drukować wierszy, fraszek i humoresek. W piśmie, które zamierza wydawać, ma być dużo rysunków, ostrej publicystyki i jadu. Ma już nawet nazwę, najprostszą z możliwych: „Nie”.

Najpierw jednak jedzie na trzy tygodnie do Juraty. Termin oddania „Alfabetu” jest zabójczy. Żeby go skończyć, musi opuścić Warszawę, jak w 1972 roku, gdy pisał „Czas przyszły niedokonany”.

Nauczony doświadczeniem, zabiera ze sobą skrzynkę whisky. W tym towarzystwie praca w ośrodku wypoczynkowym posuwa się w ekspresowym tempie. Urban

Na początku sierpnia 1990 roku książka jest prawie gotowa. Przyjaciółka Daniszewskiej, która wraca właśnie z Juraty, odbiera maszynopis i dostarcza go do Warszawy. Podczas rejsu do Gdyni drży, żeby stateczek nie zatonał. Urban zostaje jeszcze kilka dni, żeby dopisać ostatnie hasła. „Alfabet” – jest skończony.

...

W Warszawie Urban wraca do pracy nad tworzeniem redakcji nowego pisma. Jej siedzibą będzie lokal na czwartym piętrze kamienicy przy Poznańskiej, w którym mieściła się spółka handlowa Kier. W modelowaniu profilu tygodnika pomaga mu Krzysztof Teodor Toeplitz, ale kompletowanie dziennikarzy nie jest łatwe. Na otwarciu współpracę decydują się tylko desperaci, którzy po zmianie ustroju są już zawodowo spaleni, lub otwarci zwolennicy poprzedniego reżimu. Ci, którzy jeszcze mogą się przebarwiać na niewinne ofiary systemu, raczej odmawiają.

Pod koniec sierpnia Urban pisze list do Piotra Gadzinowskiego, naczelnego studenckiego tygodnika „ItD”. Pismo jest w trakcie rozpadu, nie potrafi się utrzymać na wolnym rynku. Podobne problemy ma wiele innych tytułów prasowych.

„Na mieście mówią, że »ITD« zostało już zniszczone. Bardzo mi z tego powodu przykro, z drugiej strony stwarza to nadzieję, że zechce Pan związać się z »NIE«. Przełożyłem wydanie »NIE« z początku września na 4 października. Sporo materiału już mamy, pismo kroi się ciekawie. Radbym Pana przyciągnąć w każdej możliwej formie i za każdą możliwą dla nas cenę”.

Gadzinowski bez wahania przyjmuje propozycję i obejmuje funkcję drugiego zastępcy naczelnego. Pierwszym zostaje Marek Barański, były dziennikarz TVP, który w stanie wojennym w „Dzienniku Telewizyjnym” prezentował felietony popierające Jaruzelskiego.

Z popiołów

Urban ryzykuje wszystko: pieniądze od Rakowskiego z „moskiewskiej pożyczki” i honorarium za „Alfabet”. Liczy, że wystarczy to na trzy miesiące wydawania tygodnika. Jeżeli w tym czasie nie zacznie on na siebie zarabiać, trzeba będzie pogodzić się ze stratą i zamknąć pismo.

Los jednak nadal mu sprzyja.

...

– Dzień dobry, jestem przedstawicielem Mariusza Świtalskiego, właściciela Elektromisu – mówi człowiek, który wciska się do gabinetu szefa redakcji „Nie”.

Nazwisko nic Urbanowi nie mówi. Wysłannik biznesmena z Poznania nie wygląda okazale, lecz ma interesującą propozycję od swojego pryncypała. Świtalski chciałby wydawać gazetę i szuka kogoś, kto się dla niego tym zajmie.

– Dziennik? – dopytuje zaskoczony Urban. – A panowie wiedzą, ile to kosztuje? Bo ja tak. Trzeba wyłożyć co najmniej trzysta tysięcy dolarów.

Świtalski jest jednym z pierwszych polskich bogaczy, zarobił pieniądze na handlu sprzętem RTV, a także na imporcie alkoholu (czyli na tym, na czym Urban zarobić nie zdołał). Ale taka kwota robi wrażenie nawet na jego plenipotentcie.

– Dużo taniej byłoby zrobić dziennik cotygodniowy – zauważa Urban.

– A za ile?

– Tu musimy porozmawiać, bo tak się akurat składa, że mam już przygotowany taki projekt, więc kwota byłaby mniejsza.

Wkrótce podpisana zostaje umowa na wspólne wydawanie „Nie”. Świtalski bierze na siebie koszty druku, bo jest też właścicielem drukarni. Urban zyskuje tyle, że ryzyko wydawania nowego tygodnika będzie dzielił z bogaczem. Umowę zawierają na trzy miesiące.

...

Naczelny pisze manifest programowy nowego tygodnika. To drugi raz, gdy się pod takim podpisuje. Pierwsza była w 1955 roku deklaracja w „Po Prostu”.

Trzydzieści pięć lat później program Urbana brzmi jeszcze bardziej zaczepnie:

„Wszczynamy nasze polityczne NIE. Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości nie szargane umierają z nudów. Pospieszymy je ratować.

NIE ma być niedobre. W kraju, gdzie cokolwiek się robi – robi się źle, przyrządzanie dobrego czasopisma byłoby narodowym odszczepieństwem. Rozdyma nas patriotyzm i partactwem wyrazimy plemienną solidarność. Polacy chodzą obrażeni na wszystkich i wszystko. Damy dużo nowych, dobrych powodów do obrazu. Ludzie to kupią”.

Pozostaje czekać na efekt. Tygodnik „Nie” i „Alfabet Urbana” trafiają do sprzedaży prawie równocześnie. Książkę wyprzedzają zapowiadające skandal stulecia plotki. Roznosi je głównie Górski. Komu Urban wygarnie? Kto będzie musiał uciekać z kraju? Komu złamie karierę? Kto poda go do sądu?

Dwa tygodnie później Krzysztof Teodor Toeplitz, przyjaciel Urbana, odnotowuje w „Polityce”:

„Pośród osób, o których mówiło się, że kamień na kamieniu z nich nie zostanie, kiedy tylko zmieni się ustrój, Jerzy Urban znajdował się na jednym z pierwszych miejsc”.

Tekst nosi tytuł „Urban z popiołów”. Przynosi też ocenę ostatnich zdarzeń na rynku książek i prasy:

„Ostatnio cała Polska wyrwała sobie z rąk »Abecadło Urbana« i książkę tę widziałem wystawioną na sprzedaż nawet w okienku pocztowym, obok książki telefonicznej, »Repliki« Gierka/Rolickiego i wspomnień kochanki Stalina, a więc wśród lektur silnie poszukiwanych. Od dwóch tygodni klienci kiosków »Ruchu« dopytują się o redagowane i wydawane przez Urbana pismo »Nie« i wygląda na to, że pismo to ma szansę odegrać obecnie taką rolę, jaką przed wojną odgrywały »Szpilki«, satyryczny tygodnik, wymierzony w kolosa rodzimej kołtunerii i karła swojskiej, prowincjonalnej dyktaturki”.

Swoje cudowne ocalenie podsumuje też dziesięć lat później sam Jerzy Urban:

„Gdybym wierzył w Boga, musiałbym też uwierzyć, że ta wiara napotyka wzajemność: Bóg wierzy w Urbana. Może nawet wieczorami klęka przed moją fotografią? Jednak jako bezbożnik nie mogę w to uwierzyć. Wolno mi natomiast wierzyć w przypadek. Kiedy jednak korzystnych przypadków jest zbyt wiele, a są one mało prawdopodobne, w zbieg okoliczności nie wolno wierzyć z kolei marksście. Prokuratorowi zresztą również.

Chcecie, to wiercie, chcecie, nie wiercie – jak pisała zasłużona grafomanka Maria Konopnicka – jest jednak prawda, że »NIE« powstało jako dziecko serii dziwnych przypadków. Los zawział się, że chce wydać »NIE«”.

...

W dziesiątą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego dziennikarka Monika Olejnik zaprasza do radiowej Trójki Jerzego Urbana i Adama Michnika. Dawni przeciwnicy nie skaczą sobie do gardeł, choć każdy pozostaje przy swoim zdaniu. Ciekawiej robi się dopiero po programie. Przed siedzibą radia kamerę rozstawia ekipa TVP. Jacek Kurski i Piotr Semka to młodzi, związani z prawicą dziennikarze. Nieco zdesperowani, szukają rozmówców do swojego programu „Reflex”. Chcą napisać Zbigniewa Bujaka za przekazanie legitymacji Solidarności na aukcję charytatywną, którą zorganizowała żona Czesława Kiszczaka. Bujak przez lata grał generałowi na nosie, był najdłużej ukrywającym się przywódcą podziemia. Teraz jest postem i rywalizuje z braćmi Kaczyńskimi, politycznymi patronami dziennikarzy.

Włączono nieco za późno kamera „Reflexu” łapie tylko tył głowy Michnika. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” nie chce rozmawiać z reporterami.

– Adam. Sondę uliczną robimy... Adaś – nawołuje Kurski.

Co innego Urban. Ten z radością zatrzymuje się przed kamerą.

– Czy pan sprzedałby swoją legitymację PZPR? – pyta zaczepnie dziennikarz.

– Gdybym miał, tobym ją zjadł – sili się na dowcip Urban. – Ale nie mam, bo nigdy nie byłem w PZPR.

– A SdRP? – dopytuje Semka.

– W SdRP jestem, ale legitymacji nie oddam.

– Czy sprzedałby pan? – dziennikarz jest nieustępliwy.

– Nie, ponieważ wysoko ją sobie cenię. Tak wysoko, że nikogo nie byłoby stać, żeby ją kupić – mówi zadowolony z siebie Urban. Kurski z Semką

Aneks (też alfabetyczny)

Alfabet Urbana – sprzedał się w nakładzie 750 tys. egzemplarzy. Urban zarobił na nim 120 tys. dolarów. To najprawdopodobniej najlepsza książka tego autora, choć tworzył ją w niewiarygodnym tempie. Mimo że Urban pisał przede wszystkim z głowy, nie popełnił zbyt wielu błędów. Nikt nie pozwalał go do sądu. Najbardziej dotknięta była aktorka Barbara Wrzesińska. Urban napisał o niej: „Nie spałem z nią nigdy. Nie każdy może to o sobie powiedzieć”. Wrzesińska podobno się obraziła, bo jej hasło było najkrótsze.

Edward Gierka – dostał tylko 20 proc. z honorarium Rolickiego. Umowa została zawarta o tyle uczciwie, że choć życie było Gierka, wystawił je na sprzedaż dopiero Rolicki. Pierwszy sekretarz podzielił się pieniędzmi z Franciszkiem Słachcicem, swoim dawnym zaufanym podwładnym, który był przy wszystkich rozmowach i pomagał, gdy jego szef czegoś nie pamiętał. Słachcic miał chorą córkę i żył w niedostatku, większym nawet niż Gierka. Złota Rybka uszanował starego przywódcę i pojechał do niego z prezentem. Ofiarował mu zestaw do telewizji satelitarnej. Żona Gierka, Stanisława, skarżyła się potem, że od tamtej pory jej mąż nie odchodził od telewizora.

Stefan Kisielewski – „kiepski kompozytor, średni krytyk muzyczny, drugorzędny powieściopisarz, nudny felietonista, dobry publicysta, naiwny i niewytrwały polityk. Talentów ma wiele, ale wszystkie mierne. Marks twierdzi jednak, że ilość przechodzi w jakość. Wbrew swoim interesom Kisiel wszakże zaciekle zwalcza marksizm” (Jerzy Urban, „Alfabet Urbana”, Warszawa 1990, s. 117).

Moskiewska pożyczka – 1 mln 200 tys. dolarów, które w styczniu 1990 roku Mieczysław Rakowski pożyczył od Gorbaczowa i jego KPZR. Pieniądze miały uratować polską partię przed upadkiem. Pierwszy sekretarz dostał je w walizce, a przechowywał w kasie pancерnej w swoim gabinecie. Gdy PZPR się rozwiązała, ostatnią uchwałą przekazała swój majątek na rzecz SdRP. Rakowski jednak nie przekazał moskiewskiej pożyczki. Później przyznał, że zabrał całą kwotę do domu, a w ciągu następnego roku zwrócił ją w dwóch ratach. Legalność pożyczki stała się obiektem długotrwałego śledztwa prokuratorów, agentów UOP i historyków. Ich zdaniem zwrócona została tylko połowa kwoty. Pozostałe pieniądze poszły na

odprawy dla kadrowych pracowników aparatu (około 200 tys. dolarów) i na „Trybunę”, nową lewicową gazetę (drugie tyle). Kolejne 200 tys. „puszczona została w obieg” do spółek, które tworzyli zaufani członkowie SdRP (Agencja Gospodarcza, Gravicot, Servicus). W 2022 roku Jerzy Urban wyjawiał autorom niniejszej książki, że on także otrzymał część pieniędzy z moskiewskiej pożyczki, choć nie pamiętał dokładnej kwoty. Autorzy wyliczają jednak, że było to co najwyżej około 50 tys. dolarów. Urban przyznał, że ostatecznie wykorzystał te pieniądze na finansowanie miesięcznika „Dziś”, którego redaktorem naczelnym został Mieczysław Rakowski. Postępowania karne przeciwko Rakowskiemu i Millerowi zostały umorzone. Urban jak zwykle spadł na cztery łapy.

Mariusz Świtalski – pierwszy prawdziwy kapitalista przełomu PRL i III RP. Elektromis, jego firma handlowa, stosowała rzadkie w czasach PRL zasady zdrowego rozsądku – sprzedawała drożej, niż kupowała. Świtalski zaczął od ściągania z Zachodu elektroniki i alkoholu. Miał z tego powodu mnóstwo nieporozumień z Urzędem Celnym, który zazwyczaj domagał się od przedsiębiorcy więcej opłat, niż był on skłonny zapłacić. Świtalskiego łączono, na ogół bezskutecznie, z wieloma aferami. W młodości miał poważne zatargi z prawem i odbywał karę pozbawienia wolności. Z czasem wyszedł na prostą, przynajmniej jeśli chodzi o pobyt w więzieniu – nigdy już tam nie wrócił. Założył i sprzedał wiele firm, między innymi sieci sklepów Biedronka i Zabka.

Złota Rybka – wydawniczy geniusz, który nigdy nie wpadł na to, żeby na koniec napisać książkę o sobie. Lista jego kolejnych autorów i hitów wydawniczych jest imponująca. Po Gierku i Urbanie jego staraniem ukazały się między innymi wspomnienia Jaruzelskiego, Rakowskiego, Kani, Barańskiego i Kuronia, który za „Moją żupę” dostał 100 tys. dolarów. Pod presją solidarnościowego środowiska, oburzonego tym, że dawny opozycjonista wydaje „u komucha”, Kuroń wpłacił honorarium na fundację zajmującą się dobroczynnością. Jednym z ostatnich polityków, który wydał książkę u Górskiego, był Andrzej Lepper. Gdy minęła moda na wspomnienia byłych i obecnych prominentów, Złota Rybka popadł w dług i znalazł się w więzieniu za handel fikcyjnymi fakturami. Jednak zanim to się stało, zrobił dzięki Urbanowi jeszcze jeden interes.

...

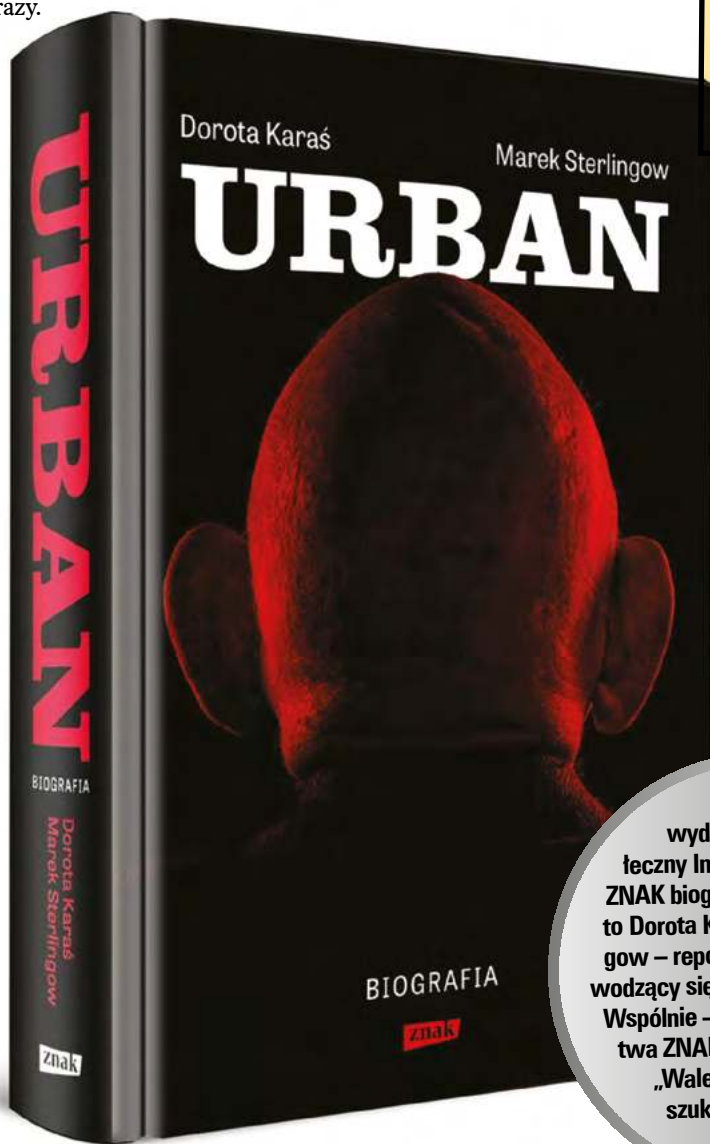
Zażyłość Michnika z Urbanem szokuje widzów dużo bardziej niż główny temat programu. Nie kwestionowany bohater opozycji zadaje się z okrytym niesławą propagandzistą reżimu? Sukces wydawniczy Urbana nie sprawia, że kontakty z nim są mniej kompromitujące.

Emisja programu rozdrażni również pracowników „Gazety Wyborczej” i „NIE”. Pierwsi będą uważać, że Urban to zły duch Michnika, drudzy – że jest na odwrót.

Adam Michnik publicznie nie tłumaczy się ze swojego stosunku do Urbana. Opinię o nim wyrazi raz, w rozmowie z dziennikarzem „New Yorkera”: „W 1976 roku Urban mógł jeszcze stanąć po naszej stronie. On wcale nie kochał tych komunistycznych idiotów – potrafił ich przejrzeć łatwiej niż ktokolwiek inny”. O wyborze, którego dokonał dziennikarz „Polityki”, zadecydowały zdaniem Michnika trzy rzeczy: głęboka pogarda dla Kościoła i polskiego nacjonalizmu, przekonanie, że ze względu na geopolitykę wszelki opór skazany jest na porażkę, i obawa przed utratą statusu materialnego.

„Dla wielu z nas była to w gruncie rzeczy, jak to ujął poeta Zbigniew Herbert, kwestia smaku. Urban ma żelazny żołądek i potrafił cały ten szmelc przetrwać. Inni z nas nie byli w stanie” – podsumowuje Michnik.

DOROTA KARAŚ
MAREK STERLINGOW



Fragment wydanej przez Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK biografii „Urban”. Autorzy to Dorota Karaś i Marek Sterlingow – reporterzy z Gdańska wywodzący się z „Gazety Wyborczej”. Wspólnie – także dla wydawnictwa ZNAK – napisali biografię „Walentyłowicz. Anna szuka raję”, wydaną w 2020 r.

chcą jeszcze wiedzieć, co goście programu powiedzieli na temat stanu wojennego.

– Michnik uważał, że to było zło, ja uważałem, że to była niezbędna konieczność – odpowiada Urban. Mija reporterów i idzie do swojego auta. – Pani Moniko! – woła i szarmancko otwiera tylne drzwi limuzyny. Z cienia wynurza się dziennikarka. Wsiadając, uświadamia sobie, że robi to pod okiem kamery.

– To będzie sfilmowane, że wsiałam z panem Urbanem? – dopytuje Olejnik.

Dziennikarze potwierdzają.

– To koniec pani kariery – żartuje Urban ponuro, zamykając za nią drzwi. Rzuca niedopałek na chodnik i dodaje od niechcenia: – Ja siadę z przodu, bo jeszcze jeden pasażer będzie.

Uwaga zaciekawia reporterów, którzy nie wyłączają kamery. Sto metrów dalej widzą ciemną sylwetkę mężczyzny.

– To jest Adaś. Adaś wsiada. – Kurski prawie krztusi się ze śmiechu. Zaniepokojony pyta: – Mamy to?

Kierowca wiezie całe towarzystwo do mieszkania Urbana w Zatoce Czerwonych Świń.

Ojczyzna wiele mu zawdzięcza.
A nawet więcej.

Urban popętnił harakiri

Językoznawca i prasoznawca prof. Jerzy Bralczyk nazwał ten język „koprolalia”, właśnie zmarły historyk i teoretyk literatury prof. Michał Głowiński „panświnizmem”, a filolog i językoznawca prof. Irena Kamińska-Szmaj „pornografią słowną”. Ze smutkiem trzeba zauważyć, że te opinie skądinąd wybitnych i szanowanych profesorów, dostrzegających w języku „NIE” jedynie wulgarność, delikatnie ich kompromitują jako badaczy języka polskiego.

...

Z założenia język tygodnika „NIE” nie miał być językiem literackim, bo jest to język sztuczny, którym nikt normalny nie posługuje się w życiu codziennym. Nie miał to być także język obowiązujący w prasie, bo ta posługiwała się dość drętwym, odstręczającym żargonem. Miał być to język, jakim wszyscy posługują się na co dzień. Jednak i tak się nie stało. Zamiast odwzorowywać, jak ludzie mówią, „NIE” stworzyło własny język i w rezultacie ludzie zaczęli mówić tak, jak w „NIE” piszą. A środki językowe używane na łamach tygodnika przeniknęły powoli do języka publicznego i na łamy innych tygodników i gazet codziennych.

I to jest istota fenomenu Jerzego Urbana i założonego przez niego pisma. Istota, która odcisnęła przez ponad 30 lat piętno na polskiej kulturze i obyczajowości – język.

Nie jeden czy drugi proces, ale język. Nie do końca wybrzmiało to w najnowszej, wydanej przez Znak, biografii „Urban”. A warto to podkreślić.

...

„Punktem wyjścia był francuski tygodnik satyryczny »Le Canard enchaîné«, wspomnienie o innym francuskim piśmie »Harakiri« – opowiadał Urban w wywiadzie rzecze „Jajakobylły”. „Ale to był daleki pierwowzór. Nie znam francuskiego i zawartość tych pism poznałem tylko z opowiadań. Chciałem, aby »NIE« było inne niż tradycyjne polskie pisma satyryczne: literackie, pełne humoresek, skeczy, wierszy satyrycznych. Chodziło mi o czasopismo aktualne, bezpardonowo zajmujące się sprawami polityki, wykorzystujące gatunki czysto dziennikarskie. Adresowałem

je do osób rozczerzanych polityką Solidarności i efektami jej rządów. Uważałem też, że po dziesięciu latach poważnych fundamentalnych dyskusji politycznych ludzie zapragną zajmować się polityką w lżejszej formie, że potrzebny jest nowy, dosadny, skrótowny język. Próbowaliśmy orientować się na młodego czytelnika i przenieść na łamy pisma slang młodzieżowy. Świeży, pełen paradoksów, skrótowno opisujący rzeczywistość”.

...

Tygodnik „NIE” – pomimo że był pismem kontrowersyjnym, a może właśnie dlatego – w zawrotnym tempie zyskał ogromną popularność. Już wiosną 1991 r., po kilku miesiącach od ukazania się pierwszego numeru, zajął czwarte – jeśli chodzi o zasięg na rynku czytelniczym – miejsce wśród czasopism periodycznych po „Przeglądzie”, „Kobiecie i Życiu” i „Super Skandalach” (Zbigniew Bajka, „Tygodnik „NIE” na rynku prasowym Polski w 1991 r.”; Ośrodek Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1991). Rok później, na wiosnę 1992, według tych samych badań jego pozycja czytelnicza jeszcze bardziej się umocniła (więcej osób czytało tylko „Przegląd” i „Kobietę i Życie”), co przekładało się na ok. 2 mln czytelników w każdym tygodniu.

Pewne jest, że ukazanie się tygodnika „NIE” oznaczało pojawienie się na polskim rynku prasowym pisma, którego jeszcze nie było, pisma, które wywoływało tyle samo zachwytów, ile oburzenia i obrzydzenia. Prof. Jerzy Bralczyk z Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego tak wypowiadał się o tygodniku w jednym z wywiadów dla „Gazety Wyborczej”: „Urban często przekracza granice dobrego smaku i tak bada wytrzymałość czytelnika [...]. Urban patologicznie eksploatuje niższe sfery języka [...]. To już koprolalia”.

Prof. Bralczyk wysunął tezę, że przy kulturowej sakralizacji języka polskiego nurzanie się w stylu Urbana może pełnić funkcje kompensujące.

W tym samym tekście prof. Bartłomiej Golka, zajmujący się międzynarodowymi systemami prasowymi, stwierdza, że pismo Urbana łączy politykę z pornografią, co jest unikatowe w skali świata.

Filozof Bohdan Chwedeńczuk na łamach „Bez Dogmatu” napisał, że „»NIE« to jedyne w Polsce poważne pismo społeczno-polityczne”, a język



tygodnika wywołuje „efekt oczyszczenia” i „efekt demistyfikacji”. Stwierdził także, że „są trzy rodzaje felietonistów, czyli ludzi wygłaszających, jak każdy z nas, opinie na różne tematy, tyle że regularnie i za pieniądze. Są ich trzy rodzaje: (1) ci, którzy mówią tylko głupstwa; (2) ci, którzy mówią głupstwa, a niekiedy nie głupstwa; (3) ci, którzy mówią rzeczy rozsądne. [...] Tych ostatnich w polskiej publicystyce powojennej jest dwóch: Stefan Kisielewski i Jerzy Urban”.

Andrzej Drawicz, krytyk literacki i tłumacz, a także krótko przewodniczący Radiokomitetu, którą to funkcję przejął bezpośrednio po Urbanie, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” stwierdził: „Jest to pismo bezcelne, tupeciarskie, niesmaczne, może pornograficzne, ale przydaje się dla higieny, żeby nie wszystko było nasycone kadzidłem. »NIE« jest zdrowe ze względu na swe funkcje wentylacyjne. Jerzy Paczkowski napisał przed wojną śliczną fraszkę, że u nas jest »za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła«. I »NIE« jest właśnie tym potrzebnym środkiem piorącym”.

...

Po sześciu latach funkcjonowania „NIE” na polskim rynku prasowym ostry atak przypuścił katolicki miesięcznik „Więź”, zamieszczając w numerze 2/1997 kilka materiałów pod wspólnym nadtytułem „Tygodnik „NIE”: gra słowem, gra Polską”. Re-

dakcja w słowie wstępnym zaznaczyła, że „popularność tygodnika »NIE« stanowi społeczny fenomen i już choćby z tego powodu należałoby się nim zainteresować”. Zauważa także, że „język w nim używany – w sposób naturalny odstręczający każdego przyzwoitego człowieka – okazuje się [...] nie tylko wyjątkowym kamuflażem rzeczywistych celów pisma, staje się także coraz powszechniej stosowanym przez społeczeństwo sposobem radzenia sobie z niewygodnymi problemami i instytucjami”.

W tym właśnie numerze „Więzi” ukazał się wywiad z prof. Michałem Głowińskim, który nazwał język „NIE” „nihilizmem aksjologicznym”, czyli „ideologią panświnizmu”, polegającą na głoszeniu poglądu, że „choć prawdą jest, iż jestem świnią, to przecież niczym się od was nie różnię, bo wy także jesteście świnią”. Swoją drogą prof. Głowiński, autor kilku książek o nowomowie okresu PRL, nigdy nie zajął się pogłębioną analizą języka tygodnika „NIE”, a wielka szkoda. No, niestety profesor właśnie wziął i umarł.

...

Specyfice wypowiedzi tygodnika „NIE” poświęciła uwagę za to prof. Irena Kamińska-Szmaj, która w swojej pracy na temat zmian, jakie zaszły w języku mediów i polityki po transformacji ustrojowej w Polsce w 1989 r., poddała analizie językowej „Gazetę Wyborczą”

(ze względu na to, że jest to „wysokokładowy, opiniotwórczy dziennik, który powstał po to, by stać się nową gazetą na nowe czasy”), „Gazetę Polską” (jako „głos prawicy niezadowolonej z sytuacji społeczno-politycznej zaistniałej w Polsce po 1989 r.”) oraz tygodnik „NIE”, któremu poświęciła cały rozdział zatytułowany „Wulgaryzacja języka polityki” (Irena Kamińska-Szmaj, „Słowa na wolności. Język polityki po 1989 r. Wypowiedzi, dowcip polityczny, słownik inwektyw”, Wrocław 2001). Kamińska-Szmaj pisze, że poświęca uwagę tygodnikowi „NIE” Jerzego Urbana dlatego, że „środki językowe, którymi się posługuje, niespostrzeżenie przenikają do języka polityki”.

Analizując język „NIE”, autorka „Słów na wolności” sytuuje się po stronie tych, których „NIE” oburza i zniesmacza. Powtarza więc opinie, które już padały: „Wizytówką »NIE«, odróżniającą ten tygodnik od innych pism obecnych na polskim rynku wydawniczym, jest jednak przede wszystkim nadużywanie, przerażające się w nieznosną manierę, słownictwa wulgarne [...]. Jest to swowista pornografia słowna, w pewnym sensie nosząca znamiona ekshibicjonizmu, polegającego na wulgarnym obnażaniu nieakceptowanych w komunikacji społecznej zachowań językowych”. Zauważa jednak: „Innym wyróżnikiem tygodnika »NIE« jest tworzenie dowcipnych, ironicznych, ale często też wulgarnych inwektyw, gdyż jest on z założenia gazetą obrażającą wszystko i wszystkich. By ubliżyć i obrazić, dziennikarze wykorzystują całe bogactwo środków językowych, czerpanych z różnych poziomów języka. Słowo w tygodniku Urbana jest bronią o silnej mocy niszczącej”.

W króciutkim „Słowniku inwektyw politycznych” zamieszczonym na końcu książki Kamińska-Szmaj wynotowuje także kilkadziesiąt z tygodnika „NIE”, m.in.: Bolek Cienki (o Lechu Wałęsie), Boss Maryjan Piękny czy Duce z odbytem w brodzie (o Marianie Krzaklewskim), funkcjonariusze spółdzielni zbawienicznej (o księżach Kościoła katolickiego), Glompowata (o Hannie Gronkiewicz-Waltz), judeoudecja (o Unii Demokratycznej), Kaczor (o Jarosławie Kaczyńskim), muminsyny (o Unii Wolności), Najjaśniejsza Pomroczna (o Rzeczypospolitej Polskiej), olszewik (o Janie Olszewskim), paplament (o parlamencie), podnóżek pana prezydenta (o Mieczysławie Wachowskim), sierotka po etosie (o Andrzeju Wajdzie). Oczywiście głównym „projektantem” tych inwektyw był sam Jerzy Urban.

Irena Kamińska-Szmaj w swojej książce pisze: „Słowa w tygodniku »NIE« zostały wypuszczone na wolność, lecz jest to wolność bez granic. Bez granic zakreślonych dobrym obyczajem i świadomością, że wolność powinna się kończyć tam, gdzie czyni niewolę drugim”. Trudno się zgodzić z jej konstatacją, zwłaszcza że w kolejnej książce (Irena Kamińska-Szmaj, „Agresja językowa w życiu publicznym. Leksykon inwektyw politycznych 1918–2000”, Wrocław 2007) sama pisze, przywołując Demostenesa, Andrzeja Krynickiego (mistrza pamfletu staropolskiego) czy mówców z okresu Sejmu Czteroletniego, że „potyczki, szermierki słowne czy też wręcz zjadliwe napaści w postaci całych utworów literackich mają swoją długą tradycję, sięgającą czasów starożytnych”. „Wolność bez granic” panowała też w okresie dwudziestolecia międzywojennego, używanie inwektyw nie jest więc na pewno pomysłem Urbana, choć niewątpliwie twórczo go rozwijał.

Tygodnik „NIE”, mimo wysokiego nakładu, znajdował się jednak na marginesie polityki i dziennikarstwa. Nawet gdy poruszał sprawy ważne, nie był cytowany. Inne media się na „NIE” nie powoływały i tak jest do dzisiaj. Bo taką mamy wolność – ograniczoną i ześwinioną. Ale wkład w polską kulturę i obyczajowość nikt tygodnikowi „NIE” nie odbierze.

WALDEMAR KUCHANNY

Dawna
opozycja
żyje
legendami.

1001 niegodziwości Urbana

Po ukazaniu się książki „Urban. Biografia” odezwał się publicznie (na FB) wspólny znajomy autorów i mój, dziennikarz i fotograf, w latach 80. działacz opozycji, przede wszystkim organizator Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Gdańskim oraz organizator strajków na UG: „Nie rozumiem, jak w książce o Urbanie autorstwa gdańskich autorów Doroty Karaś i Marka Sterlingowa nie znalazła się choćby wzmianka o postępowaniu Urbana w sprawie śmierci Marcina Antonowicza. Słowa rzecznika rządu były równie skandaliczne jak w przypadku śmierci Grzegorza Przemyka. Urban starał się nie tylko poniżyć Marcina i jego matkę oraz rodzinę, ale i studentów oraz rektora UG Karola Taylora. Urban zachował się nad wyraz podłe i nie jest mi znane, by po 1990 r. przeproszał i tłumaczył się. Złe się stało, że autorzy pominęli tę sprawę”.

Odpowiedziała mu współautorka książki Dorota Karaś: „Nasza książka nie jest kroniką niegodziwości Urbana. Na 600 stronach nie znalazł się pewnie nawet ułamek tego, co opowiadał na konferencjach prasowych. Wybraliśmy najgłośniejsze historie, które pozwolą czytelnikowi ocenić jego postawę, nie tylko w latach 80., ale przez całe życie”.

Również ja zostałem wezwany do odpowiedzi: „Waldemar Kuchanny, czy Urban kiedykolwiek tłumaczył się z postępowania w sprawie śmierci Marcina? Mogłeś być już w 1985 r. studentem UG i być może byćś świadkiem tego, jak nasza uczelnia wówczas to przeżywała”.

Nie byłem w 1985 r. jeszcze studentem UG, rozpocząłem studia na polonistycę bodaj rok albo dwa później. O sprawie śmierci Marcina Antonowicza do tej pory – przyznaję – nie słyszałem. Ale postanowiłem się nad tematem pochylić w miarę możliwości.

Ostoja buntu

Marcin Antonowicz pochodził z Olsztyna. Tu się urodził, chodził do liceum, tu mieszkała jego rodzina. Jesienią 1985 r. rozpoczął studia na Wydziale Chemii Uniwersytetu Gdańskiego. Studentem był zaledwie kilka tygodni. 19 października chodził z dwójką kolegów ulicami rodzinnego Olsztyna. Przyjechał z Gdańska do rodziny i znajomych na weekend. To była sobota, późny wieczór, ok. godz. 22.00. A w dodatku rocznica śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Jeden z kolegów miał wezwanie do wojska, więc chłopacy trochę wypili. Ile tego trochę? Dzisiaj trudno dociec. Chłopaków zatrzymał patrol milicji. Marcina zabrali ze sobą do stara – milicyjnej budy. Pozostałych dwóch puścili. Dlaczego akurat jego zabrali? Nie wiadomo. Opozycja podawała, że pokazali legitymację studencką z UG, a Gdańsk to był, wiadomo, ostoja buntu. I to miało być powodem zatrzymania akurat jego jednego z całej trójki.

Kolejne fakty są takie, że Marcina jakiś czas później znaleziono przy jednej z ulic. Leżał nieprzytomny. Pojawiły się milicja, prokurator, pogotowie. Odtransportowano go do szpitala. Zmarł 2 listopada.

Według milicjantów Marcin – ponieważ był pod wpływem alkoholu, a był – zachowywał się agresywnie, dlatego postanowili przewieźć go do izby wytrzeźwień. Już w samochodzie chłopak miał rzucić się na jednego z konwojujących, dusić za gardło, a w pewnym momencie otworzył drzwi samochodu i wyskoczył, uderzając głową w jezdnię. To wersja oficjalna, taką wersję przyjęła wówczas prokuratura, taką wersję podawał na swojej konferencji prasowej Jerzy Urban. Środowiska opozycyjne odrzuciły ją jednak, uznając, że Antonowicz został pobity przez milicjantów i wyrzucony z samochodu. Taka wersja przez środowiska solidarnościowe jest głoszona do dzisiaj.

Swoją drogą, googlując na temat tej sprawy, nie znalazłem żadnych śladów zeznań ówczesnych towarzyszy Marcina Antonowicza. A przecież wydają się kluczowe. Może nie ma ich w internecie, może źle szukałem.

Kolejny Popiełuszko

Pogrzeb Marcina Antonowicza był dla opozycji okazją do wielkiej manifestacji. Władzom PRL – oczywista oczywistość – nie mogło się to podobać i wszelkie próby uczynienia z Antonowicza kolejnego Popiełuszki chciały zdusić w zarodku. Bez specjalnego pozwolenia.

W pogrzebie uczestniczyli dostojnicy diecezji warmińskiej z biskupem Julianem Wojtkow-

skim, olsztyńscy działacze Solidarności, studenci i licealiści. Z Gdańska przybyła liczna delegacja: kadra profesorska Uniwersytetu Gdańskiego z rektorem prof. Karolem Taylorem na czele, ks. Henryk Jankowski, Anna Walentynowicz i studenci UG. Przemawiający na pogrzebie rektor Taylor wprost nawiązał do śmierci Popiełuszki.

Nigdy nie wyświetlono, jaki był naprawdę przebieg wypadków ani nie udowodniono nikomu udziału w śmierci Marcina Antonowicza.

Sprawę badał mecenas Edward Wende, późniejszy senator I i II kadencji oraz poseł III kadencji, który reprezentował rodziców Marcina Antonowicza, oraz Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW, zwana komisją Rokity. W 1991 r. sprawę badała prokuratura w Toruniu i ją umorzyła.

Wszystko to nie przesądza, jak było naprawdę. No właśnie, jak? Nie wiadomo.

Na pewno można zarzucić ówczesnym władzom, że skupiły się na tłumieniu reakcji społecznych wywołanych tą niewątpliwą tragedią. Ale to jeszcze nie powód, aby rzucać zdecydowane oskarżenia o dokonanie zbrodni i jej tuszowanie.

Może to zabrzmieć brutalnie, ale tak jak w całej historii, także opozycja w PRL potrze-

bowała świętych i męczenników, aby wokół nich skupiać społeczne emocje. A ktoś był lepszym męczennikiem niż zupełnie niewinny 19-letni student pobity na śmierć przez milicję?

Tak jak potrzebni są święci męczennicy, tak potrzebne są ich lustrzane odbicia – uosobienie zła w czystej postaci. W takiej roli opozycja PRL obsadziła Jerzego Urbana, niezależnego dziennikarza i intelektualistę, wówczas na posadzie rzecznika rządu PRL. Taką rolę świadomie on sam przyjął na siebie.

Urban dla opozycji w latach 80. był – a dla części społeczeństwa utożsamiającej się z Solidarnością dalej jest – miejską legendą i mitem: Candymanem, Freddyem Kruegerem. To część fenomenu Urbana. Bez tej legendy i Urbana opozycja w PRL byłaby bardziej mikra.

Legenda Marcina Antonowicza nie jest tak żywa jak legenda Stanisława Pyjasa czy Grzegorza Przemyka, ale podtrzymywana. W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński nadał mu pośmiertnie Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Mity założycielskie

W maju tego roku ukazała się książka reporterska Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”.

Pyjas był studentem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Działał w opozy-



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

cji od 1976 r. Zmarł w maju 1977 r. w kamienicy na ul. Szewskiej w Krakowie. Oficjalna wersja władz PRL mówiła o tym, że spadł ze schodów, ponieważ był pod wpływem alkoholu. Środowiska opozycyjne oskarżały o pobicie i śmierć Pyjasa funkcjonariuszy SB. Jego śmierć i pogrzeb spowodowały w Krakowie wielkie manifestacje oraz powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, a później kolejnych SKS-ów na kolejnych uczelniach. Jednym z głównych działaczy SKS był Bronisław Wildstein. Można nawet postawić tezę, że śmierć Pyjasa była legendą założycielską legendy Bronisława Wildsteina.

Z opublikowanej książki Łazarewicza wynika, że jednak śmierć Pyjasa była spowodowana upadkiem ze schodów i nie ma żadnych dowodów na to, że była przez kogokolwiek zawiniona. Książka przeciwstawia się pewnemu bardzo silnie zakorzenionemu w Polsce mitowi.

To oczywiście nie znaczy, że wszystko w PRL było cacy, a Służba Bezpieczeństwa, ZOMO i milicja to byli dobrzy wujkowie. Były represje, zatrzymania, pobicia, zgody. Ale naprawdę nie w każdym przypadku da się wszystko zalegnować i nie za wszystko odpowiadał Urban.

WALDEMAR KUCHANNY

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Są osoby, które mają nadzieję, że Kościół zmieni swoje nauczanie na temat **czystości i homoseksualizmu**. [...] Podważanie znaczenia czystości dokonuje się na wielu poziomach. Chodzi tu o dążenie do zniesienia celibatu kapłańskiego, aprobaty dla współżycia poza małżeństwem, rozwodów itp. Kościół miałby przyjąć za swoje nauczanie Aleksandry Koltontaj, która głosiła hasła takie jak „wolna miłość” czy „miłość jak szklanka wody”. Generalnie chodzi o uznanie, że życie seksualne człowieka nie ma żadnego związku z moralnością i pobożnością. Ludzie jedzą pokarm tak jak zwierzęta i **współżyją tak jak zwierzęta**.

ahp Stanisław Gądecki, PAP, 2 października

Wiemy, jak tzw. **rewolucja seksualna** wiele przyniosła zniszczenia: setki milionów dzieci zabitych w wyniku aborcji, plaga rozwodów, nadużycia seksualne, także wobec dzieci, dzieci wychowywane bez obojga rodziców.

dalej Gądecki

Aby zacząć rozmawiać o osobach o skłonnościach homoseksualnych, musimy najpierw uznać, że **życie seksualne** człowieka podlega **wartościowaniu moralnemu**. W konsekwencji zaś musimy uznać, że istnieją grzechy przeciwko czystości. A dalej, że na tej liście grzechów są także akty homoseksualne jako z samej swojej natury wewnętrznie nieuporządkowane i sprzeczne z prawem naturalnym. W związku z tym w żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaakceptowane.

Gądecki

Można postawić pytanie o to, jak osoby o **skłonnościach homoseksualnych** mają dążyć do świętości. Odpowiedź jest zawarta w „Katechizmie Kościoła katolickiego”. Katechizm mówi, że powinni żyć w całkowitej **wstrzemięźliwości seksualnej**. Nie jest to jakieś nadzwyczajne wymaganie ze strony Kościoła, gdyż identyczne skierowane jest do młodzieży, która jeszcze nie weszła w związek małżeński, do osób samotnych, wdowców, zakonników i zakonnic czy duchownych.

Gądecki

We współczesnym świecie pojawia się próba zawłaszczenia pewnych **idei Jana Pawła II**, a do brym tego przykładem jest dyskusja, jaka będzie toczona w Parlamencie Europejskim w ciągu najbliższych dni w sprawie **nielegalnej migracji**. Przetłumaczenia ich zupełnie inaczej, na język tej neoliberalnej lewicowej elity, która próbuje tymi argumentami – tłumacząc, „jak wy możecie nie wpuszczać uchodźców, jak wy możecie nie pomagać, przecież jesteście chrześcijanami” – to jest używane w zupełnie innym kontekście, do zupełnie innych potrzeb i to jest zawłaszczanie.

Beata Szydło, konferencja „Jan Paweł II. Inspiracja dla świata”, 30 września

My dzisiaj, przypominając i cały czas mówiąc o Janie Pawle II, o jego ideach, bo to jest potrzebne Europie, musimy w tej chwili zbudować od **nowa Europę na wartościach**, bo te wartości mimo tego, że tak dużo się o nich mówi w Europie, to one niestety zostały zupełnie pogrzebane albo są właśnie zawłaszczane pewne słowa, pewne sentencje, pewne postaci i pokazywane w różnych kontekstach, które pasują tym, którzy próbują nasz świat przemodelować.

dalej Szydło

Jeśli chcemy, żeby nasze młode pokolenia oraz te, które dopiero przyjdą, żyły przynajmniej w tak dobrym świecie, w jakim my wzrastaliśmy, **Jan Paweł II** musi być inspiracją dla tego świata.

Przemysław Czarnek, konferencja „Jan Paweł II...”, 30 września

WYBRAŁ KLECHA

R E K L A M A

PROF. MARCIN WIĄCEK
POLACY MAJĄ NA CO SIĘ SKARŻYĆ

OKLASKI DLA SS GALIZIEN

JOANNA RAWIK
KULTURA PONAD SYSTEMAMI

JACEK PAŁKIEWICZ
U YANOMAMI

tygodnikprzeglad.pl

Przeгляд

Co PiS ukrywa przed POLAKAMI

Holland z termosem

- WRÓCIŁEM Z KINA

Posłaliśmy najmłodszego członka redakcji do kina na „Zieloną granicę” Agnieszki Holland. Miał napisać, co sam myśli na temat filmu, bez oglądania się na głosy pisowców i koalicjantów. Oto, co przysłał do redakcji.

...

„Zielona granica” jest najgorętszą premierą tej jesieni i podobnie jak wiele innych gorących premier – by przypomnieć tylko „Politykę” Patryka Vegi czy „Gierka” z Miśkiem Koterskim – jest beznadziejna.

Bohaterowie „Zielonej granicy” są przedstawieni w najprostszy możliwy sposób. Białoruscy pogranicznicy to swolocz wylewająca na ziemię butelkę wody na oczach spragnionych uchodźców i głośno przy tym rechocząca. Po polskiej stronie strażnik albo jest bydlakiem dającym termos ze stłuczonym szklanym wkładem uchodźcy i patrzącym, jak ten dławi się rozbitym szkłem, albo synem marnotrawnym, przymykającym oko na ciężarówkę pełną migrantów. Nawiasem mówiąc, termosy ze szklanym wkładem wyszły z użycia przeszło 20 lat temu, więc ta scena, podobnie jak wiele innych, jest tandetnym dramatyzowaniem. W policji – jak i w straży granicznej – z jednej strony komendant sadysta, bijący i upokarzający aktywistkę, z drugiej dobra policjantka kontaktująca się z adwokatem i podająca bohaterce lekarstwo. Z kolei aktywistów Holland przedstawia jako wyciągniętych ze squatów, przesiąkniętych ideologią „woke” odklejeńców, którzy plują w rozmówcę gumami do żucia.

Pozostałe pojedyncze postacie to zlepkki stereotypów. Bogdan i Basia to popierający opozycję przedstawiciele wyższej klasy średniej. On ma sesję zdalną u prywatnej psychoterapeutki, gdyż jego psychikę rujnują rządy PiS. Z kolei ona deklamuje przed kamerą, że „zawsze głosowała na Platformę i gdy było trzeba, stała ze świeczką pod są-

dem, ale ta sytuacja ją przerasta”. Funkcjonariusz straży granicznej, który przyjechał udzielić pouczenia szeregowym pogranicznikom, ucharakteryzowany jest na ubeka z paradoksalnych programów o grozie stalinizmu i mówi oderwanymi od rzeczywistości frazesami z TVP Info.

Jedyną rzeczą, która łączy wszystkich bohaterów jest wulgaryzm. „Kurwa” jest najczęściej powtarzanym słowem przez pograniczników po obu stronach granicy, aktywistów czy przedstawicieli klasy średniej. Pogranicznicy, jeśli akurat nie są zajęci uchodźcami, rechoczą z pieprznych, obleśnych żartów. Jedyną rozrywką jest picie bimbrowa i słuchanie piosenek rodem z remizy.

Nie klną (zamiast tego co drugie słowo wzywają Allaha) jedynie uchodźcy. Od drzew odróżnia ich tylko to, że biegają, przepędzani w tę i z powrotem przez granicę, oraz mówią. Zresztą wyłącznie o rzeczach trywialnych: dziecko zsiakało się w gacie, ktoś jest głodny itd. Historie tych ludzi są przedstawione mimochodem, płytko, w kilku zdaniach. Uchodźcza rodzina ucieka z Syrii przed ISIS, a dołącza do niej kobieta z Afganistanu, która pomagała polskim żołnierzom. Od najwybitniejszej polskiej reżyserki XXI wieku spodziewałem się większej kreatywności.

...

Płycizny postaci reżyserka nie nadrabia fabułą – na siłę dramatyzowaną i pełną błędów logicznych.

Uchodźcy przylatują do Mińska w ciągu dnia, gdy na zewnątrz są –2 stopnie Celsjusza. Tymczasem nad ranem (czyli w najzimniejszej porze doby, gdy powinno być jeszcze kilka stopni chłodniej) pada deszcz. Uchodźcom odmarzają kończyny, a w tym samym czasie chłop orze pole. Kilka scen później trwają żniwa, lecz wszyscy chodzą okutani

w kurtki, czapki i szaliki. Może z hojnych grantów (ich wymienianie zajmuje pierwsze dwie minuty filmu) wystarczyłoby pieniędzy na konsultacje z agronomem. Wspomniany rolnik częściej przybyszkuje wodą, jabłkami i kieruje ich do swojej chaty, a następnie dzwoni z telefonu komórkowego. Uchodźczyni nie może wiedzieć, z kim kontaktuje się rolnik, poza tym parę scen później ma jeszcze dobre zdanie o polskiej straży granicznej (początek filmu, przed pierwszym push backiem). Mimo to przerażona zaczyna uciekać do lasu. Sensu w tym nie ma za grosz, ale jak wspominałem, logika nie jest mocną stroną tego filmu.

...

Akcja rzekomo dzieje się na Podlasiu, jednak z każdą kolejną sceną widz utwierdza się w przekonaniu, że jest to raczej prywatny świat Agnieszki Holland. Podstawowym źródłem informacji dla wszystkich jest gazeta „Puls Podlasia” (wyraźnie nawiązująca do „Gazety Wyborczej”), a w każdej radiostacji bez przerwy mówią o uchodźcach na granicy. Szkoda, że przy drogach nie było telebimów wyświetlających na okrągło poprzednie dzieła reżyserki. Poziom realizmu by się nie zmienił.

...

Zakończenie filmu jest również proste, wręcz infantylne: rodzina bogatego, wykształconego i nienawidzącego PiS Bogdana przyjmuje do domu grupę uchodźców z Afryki. Wchodzą oni do idealnie białej łazienki, żeby widzieć przez kilka minut mógł upewnić się, że są czarni jak węgiel – prawdziwi uchodźcy, niepodrabiani. Następnie Bogdan z małżonką pokazują, że są tolerancyjni wobec innych religii – na kolację zrobili kurczaka, nie wieprzowinę. A na deser biologiczne dzieci Bogdana ze swymi afrykańskimi kolegami rapują po francusku. Po dwóch godzinach ciągłego wrzasku głodnych niemowlaków, palowanych uchodźców i poganiających ich pograniczników w końcu lukier spłynął z ekranu.

Niestety, to nie koniec. Jest jeszcze epilog, czyli sceny z granicy polsko-ukraińskiej i zbliżenie na twarz pogranicznika wcześniej służącego na białoruskiej granicy. Na pytanie, czy dzieciom na granicy z Białorusią też pomagał, odpowiada, że go tam nie było. I to mogłaby być puenta, lecz mamy jeszcze epilog do epilogu w postaci tablic z danymi statystycznymi dotyczącymi kryzysu migracyjnego.

...

W sumie można by potraktować ten film jako komedię, bo usilne dramatyzowanie niektórych scen prowadzi do zabawnych absurdów, a postacie są do bólu przerysowane. Niestety, widzowi przez 2 godz. 20 min towarzyszy ciągły jazgot i zbliżenia na odmrożone kończyny. Nie da się z tego filmu nawet pośmiać.

MAREK SANOWSKI

strzelnica  **dpustowa**

Porwanie Europy

Za tydzień wybory, niektórzy twierdzą, że najważniejsze po 1989 r. Zarówno stronnictwo antyniemiecko-antybrukselskie Kaczyńskiego, jak i stronnictwo antynacjonalistyczne Tuska zachęcają mnie, abym się wybrał do punktu z urnami i oddał na nie głos. Gdzieś z boku o uwagę zabiega Lewica Czarzastego oraz Trzecia Droga Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Ale ta zachęta przez wiele tygodni kampanii wyborczej brzmiała w moich uszach jak jeden wielki wrzask i harmider. A „propozycje programowe”, jakie się przez ten wrzask przebijają od czasu do czasu, były z porządku uznawane przeze mnie za pierdolety. Bo co to jest za poważna propozycja, aby odmalować gierkowskie bloki z wielkiej płyty, dać dodatkowy plaster mielonki choremu w szpitalu albo jeden miesiąc w roku „wakacji od ZUS-u” dla przedsiębiorców czy znieść podatek Belki od odsetek z lokat bankowych? Kichać to!

Politycy nie potraktowali mnie, swojego wyborcy, w najmniejszym stopniu poważnie. A szkoda, bo czasy, które idą, to czasy całkiem nowe – niektórzy mogą być kapkę zdziwieni. Albo nawet dwie kapki. Oczekiwałem więc na ten temat jakiejś rozmowy. Ale jestem najwyraźniej uważany przez polityków za małe dziecko, które nie zasługuje na poważną rozmowę.

...

Kończy się Europa, jaką znamy. Kończy się Europa socjału. Kończy się Europa bezpłatnej edukacji, służby zdrowia, emerytur. Kończy się i już takiej Europy nie będzie. Ja jeszcze może umrę w starej, dobrej, cieplej, zamożnej, ukształtowanej przez porządek jałtański Europie, ale już moja – nastoletnia obecnie – córka z całą pewnością nie.

Europa się starzeje. Starzeje się dramatycznie. Proces ten spowodowany jest wydłużeniem średniej długości życia i coraz niższym wskaźnikiem urodzin. Koszt obsługi staruchów z roku na rok

pochłania coraz większy procent PKB. Polska na tle UE starzeje się szybciej. To oznacza, że coraz mniej osób będzie w tzw. wieku produkcyjnym, w wieku, w którym mogą świadczyć pracę (i odprowadzać tzw. składki na ZUS), a coraz więcej osób będzie w wieku, w którym już tylko mogą korzystać z opieki państwa (emerytur).

Prognoza mówi o zmniejszeniu się w 2100 r. liczby ludności Europy z 325 mln (obecnie) do 186 mln (z pominięciem Rosji, której liczba ludności także spadnie). W Polsce liczba ludności spadnie w 2100 r. poniżej 30 mln. A może nawet grubo poniżej.

Jednocześnie sąsiadująca z Europą przez niewielkie w gruncie rzeczy Morze Śródziemne Afryka ma największy na świecie przyrost naturalny, a dzieci stanowią tam ok. 45 proc. populacji. W tym czasie liczba mieszkańców Afryki przekroczy 4,2 mld. Afryki ze swoim nieefektywnym rolnictwem, brakiem wody, suszami, wycinanymi lasami, AIDS i licznymi konfliktami politycznymi.

I co? I ruszą te masy ludzkie do Europy. I nikt ich nie powstrzyma. Nikt. To jest nieunikniona kolej rzeczy. Żadne płoty, mury, zasieki tego nie powstrzymają. Ani Kaczyński z Morawieckim.

PiS, poruszając w kampanii problem migracji, odnosi się – i prawidłowo – do największego problemu, jaki nas czeka w przyszłości. Ale to, co mówi PiS, to bełkot i jazgot, ciekające gile z nosa rozwrzeszczanego przedszkolaka.

To naprawdę nie jest problem relokacji tej niewielkiej grupki imigrantów, którą chce przydzielić nam UE, tego, czy Tusk się

JAK PAN
OCENIA
AKTUALNIE
RZĄDZĄCYCH?



na to zgodzi, a Kaczyński nie zgodzi. To nie jest problem tego, jak Agnieszka Holland pokazała w fabularnym filmie naszą strzegącą granic przed imigrantami umundurowaną straż graniczną. Ani tym bardziej straszenia nas, że nadpłyną imigranci z maczetami i będą gwałcili nasze białe kobiety.

No tak, nadpłyną. Prędzej czy później, ale nieuchronnie. I Europa zacznie powoli tracić swoją obecną tożsamość kulturową. To jest problem cywilizacyjny całej Unii Europejskiej, w tym Polski. I dobrze byłoby się do niego przygotować.

Zamiast pierdolić trzy po trzy, że my, kurwa, nie, na pewno nie, że nikogo nie wpuszczymy, oczekiwałbym od polityków przygotowania programu działań. Być może warto byłoby powołać oddzielne ministerstwo do spraw imigracji. Opracować programy, w jaki sposób imigrantów, zwłaszcza z innych kręgów kulturowych, rozlokowywać, jakie im zapewnić możliwości pracy i integracji, jak wpasować ich w społeczeństwo.

Jak widać, takiej dyskusji nie ma ani w bańce pisowskiej, ani w antypisowskiej i nie sądzę, aby się pojawiła. Naprawdę – już to raz kiedyś tutaj wyrażałem – polską polityką, przynajmniej tą zagraniczną, powinni zawiadywać Niemcy.

WALDEMAR KUCHANNY

PS W ostatnim numerze prawnicowego tygodnika „Do Rzeczy” (tam, gdzie pisuje Rafał Ziemkiewicz) na okładce jest wywalony wielki tytuł „Należy wyjść z Unii. Polska więcej traci, niż zyskuje na członkostwie w UE”. To tekst przewodni numeru niejakiego Tomasza Cukiernika, dziennikarza związanego z Korwin-Mikkem i Konfederacją. Wyjście Polski z UE byłoby największym nieszczęściem, jakie by nas spotkało od czasu wywołania powstania w Warszawie w 1944 r. Gorzej. Byłoby to zdecydowanie większe nieszczęście.

Najgorzej, gdy władza wierzy we własną fałszywą propagandę.

Igrzyska europejskie w Krakowie ogłoszono sukcesem, którym wcale nie były. Skoro stać nas na sukces europejski – urządzili panowie w gabinecie przy ul. Nowogrodzkiej – to dlaczego nie na światowy? Podczas II Europejskiego Kongresu Sportu i Turystyki w Zakopanem (26–28 września) najwyżsi państwowi dostojnicy ogłosili dwie bardzo ważne decyzje. Premier Mateusz Morawiecki poinformował, że Polska zorganizuje mistrzostwa świata w piłce siatkowej mężczyzn w 2027 r., a prezydent Andrzej Duda tego samego dnia zapowiedział wystąpienie Warszawy o prawo przeprowadzenia letnich igrzysk olimpijskich w 2036 r. Jak będzie z chlebem, jeszcze nie wiadomo, igrzysk nam jednak nie zabraknie.

Pod spadającym dachem

Powiedzmy otwarcie: igrzyska europejskie nie były żadnym sukcesem. Z budową obiektów jakoś gospodarze się wyrobili, choć pamiętam, że podczas meczu piłki ręcznej plażowej dach spadł na widownię, na szczęście tego dnia jak zwykle pustą. Z technicznym przeprowadzaniem zawodów było nieźle. Zainteresowanie kibiców było nikłe, a jeśli na trybunach pojawiali się ludzie, byli to zazwyczaj członkowie ekip, którzy akurat tego dnia nie startowali. Miejscowych kibiców zmagania nie interesowały, a nawet gdyby nabrali ochoty na popatrzeć na zawody, nie wiedzieli, gdzie się odbywają, bo informacja była fatalna. Całe te europejskie igrzyska są dętą propagandową imprezą służącą autorytarnym rządowi (wcześniej Azerbejdżanu i Białorusi) do przekonywania swoich obywateli o międzynarodowej potęgce. Finansowo też była to porażka, choć nie dla wszystkich, bo organizatorzy funkcjonują nadal, a ich pensje – jak donoszą media – kosztują milion złotych miesięcznie.

Czy jest możliwe zorganizowanie letnich igrzysk olimpijskich w Warszawie? Bez odpowiedniej infrastruktury sportowej nie, a na razie jej nie ma. W miarę nowoczesny, ale starzejący się już (przypominam nie tak dawną awarię dachu), a przede wszystkim mało pojemny Stadion Narodowy to w zasadzie jedyny atut stolicy Polski. Wszystko inne trzeba wybudować. Nawet przeniesienie poszczególnych dyscyplin do innych miast (powszechna ostatnio decentralizacja igrzysk sprawia, że miasta są tylko tytułarnie gospodarzami wydarzenia) nie załatwia sprawy. Obiektów, zwłaszcza z pojemnymi trybunami, po prostu w Polsce nie ma. Trzeba budować albo stałe areny, albo tymczasowe. Ile to kosztuje? Jeśli spojrzeć na sumy, jakie wydawali inni, wydaje się to niezmiernie trudne, ale dla dużego europejskiego kraju realne. Jeśli jednak porównać je z PKB poszczególnych organizatorów igrzysk, a zwłaszcza z zamożnością społeczeństw, widać, że prezydent Duda porywa się z motyką na słońce.

Po ogłoszeniu chęci zorganizowania igrzysk w Warszawie ukazało się w prasie i w internecie sporo analiz ekonomistów. Na ekonomii znam się gorzej niż na kolarstwie i na żużlu, można mi wmówić wszystko, ale nie to, że ktokolwiek jest w stanie przewidzieć, co będzie się działo w polskiej gospodarce za kilka lat, nie mówiąc już o kilkunastu.

Zostało tylko logo

Żeby nie było, że czepiam się wyłącznie pisowców. To już trzecia próba zapalenia nad Polską olimpijskiego znicza. Dwie poprzednie były nieudane. O zimowych igrzyskach w Szklarskiej Porębie nie ma co pisać, bo to był chyba żart. Znacznie poważniej wyglądała próba zaproszenia przedstawicieli zimowych dyscyplin do Zakopanego. W 2012 r. powstał nawet komitet organizacyjny Zimowych Igrzysk Olimpijskich Kraków 2022 z prezydentem Jackiem Majchrowskim i posłanką Jagną Marchujtis-Walczak na czele. Entuzjastami pomysłu byli ówczesny premier Donald Tusk i prezydent Bronisław Komorowski. Minister sportu Joanna Mucha zapewniała, że impreza nie będzie wiele kosztować, bo główny ciężar finansowania wezmą na siebie

Igrzyska zamiast chleba

sponsorzy oraz Międzynarodowy Komitet Olimpijski, który – o czym zapomniała – od zawsze chętny jest do brania pieniędzy, ale mniej chętny do dzielenia się nimi.

Co ważne, rozpoczęto rozmowy ze Słowackim Komitetem Olimpijskim, bo część konkurencji miałaby odbywać się u sąsiadów. Powstało nawet logo Igrzysk Kraków 2022, dość szkaradne, za to drogie. Początkowo miejscy urzędnicy zwrócili się (oczywiście bez przetargu) do szwajcarskiej firmy, która zaczęła sobie za usługę 79 tys. zł i przysłała jakiś koszmerek, który równie dobrze mogłoby namalować dziecko w przedszkolu, korzystając z kredek świecowych i ekerki.

W kolejnym podejściu nawet nie próbowano zlecić wykonania logotypu ani zewnętrznej firmie, ani rodzinnemu grafikowi, żeby nie narażać się na kolejne koszty. Urzędnicy sami wyrysowali coś, co miało jednocześnie symbolizować krakowski Rynek Główny (żółty kwadrat pośrodku) i góralskie parzenice (jakieś zawijaski dookoła). Logo imprezy jest jedynym jej trwałym śladem.

Zimowe Igrzyska Kraków 2022 nie zostawiły żadnego innego śladu, bo po referendum, w którym blisko 70 proc. mieszkańców wypowiedziało się przeciw temu pomysłowi, prędko z niego zrezygnowano. Choć nikt nie zjeżdżał na nartach, nie ścigał się na lodzie ani nie wbił czarnego krążka do bramki, zdążono wydać 11 mln zł. Najwyższa Izba Kontroli wytknęła Ministerstwu Sportu, że nie wolno mu było wydawać państwowych pieniędzy bez wyrażenia zgody ogółu lokalnej społeczności na organizowanie zawodów. Wskazano także na inne błędy, ale – bądźmy szczerzy – przy skali nadużyć, z jakimi mamy do czynienia w epoce PiS, jakies tam 11 mln zł to są żadne pieniądze.

Za, a nawet przeciw

Nietrudno zgadnąć, kto był największym krytykiem zimowych igrzysk w Krakowie. Oczywiście opozycja z jej krakowskim postem PiS Andrzejem Dudą na czele. Dzisiejszy entuzjasta letnich igrzysk w Warszawie z właściwą sobie ironią pisał wówczas na Twitterze o pomysły imprezy: „Hmm, podobno podczas zimowej olimpiady sportowcy mają mieszkać w akademikach. A studenci co? W kamazie czy olimpiada w wakacje?”. Pominął fakt, że pomysłodawca największej sportowej imprezy świata w 2036 r. nie rozróżniał igrzysk od olimpiady (olimpiada to czteroletni okres między igrzyskami), ale pomysł, żeby maksymalnie wykorzystywać istniejące obiekty, wcale nie był taki głupi.

Bardziej zastanawiający jest inny fakt: Andrzej Duda urodził się w Krakowie, tam zdobył wykształcenie na Uniwersytecie Jagiellońskim i poznał uroczą żonę Agatę. Jest też znanym miłośnikiem narciarstwa. Ta miłość nie ogranicza się do obecności w Zakopanem na Wielkiej Krokwi podczas zawodów i wpatrywania się w skocznię z nadzieją, że wygra Polak i będzie mógł w obecności mediów zawieszać mu medal na szyi. Duda jest także czynnym narciarzem amatorem. Zimowy urlop zwykł spędzać na stoku i szusuje po białym puchu



w otoczeniu wysportowanych ochroniarzy oraz pod czujnym okiem kamer telewizyjnych. Prezentuje się świetnie, a TVP Info, choć wylicza Tusкови, ile kosztują jego mokasyny, jakos nigdy nie zastanawiała się nad ceną narciarskiego wyposażenia pana prezydenta i czy stać na takie przeciętnego Polaka.

Ogłaszając w Zakopanem zgłoszenie Warszawy do zorganizowania letnich igrzysk w 2036 r., Duda popełnił dużo większy błąd, niż gdyby na stoku zaplatał mu się kijek narciarski między nogami. W stolicy Tatr nie umarła jeszcze pamięć o obiecanych w 2012 r. igrzyskach. Górale bardzo na nie liczyli, bo dla miejscowych taka impreza stanowi zawsze doskonałą okazję do zarobku i do światowej reklamy, dzięki której jeszcze długo po jej zakończeniu mogą ciągnąć zyski. I zrobił to w dodatku krakowianin, choć we krwi powinien mieć niechęć do Warszawy, która odebrała jego miastu stołeczność.

Trzeba było zajrzeć do internetu, ile krytyki wylało się na głowę naszego państwa.

Zapowiedź, tuż przed wyborami, wielkiej imprezy sportowej w Polsce

miała przynieść rządzącej partii wzrost poparcia w narodzie. Może u niektórych przyniosła, ale u innych, zwłaszcza na Podhalu, oznaczała wizerunkową stratę. A Podhale zawsze było bastionem PiS-u.

Propaganda za wszelką cenę

Już wspomniałem o marnotrawstwie pieniędzy przy okazji igrzysk olimpijskich. Jeszcze żadne, ale to naprawdę żadne w czasach, które pamiętam, nie zmieściły się w planowanym budżecie. Pomińmy Tokio, bo to był czas pandemii, zawody odbywały się rok po terminie i bez kibiców. Miały kosztować coś ok. 7 mld dol., kosztowały 13. Ale zawody w Pekinie to wydatek 40 mld, i jest to rekord.

Inna sprawa, że wszystkie takie wyliczenia budzą wątpliwości. Bo jak sumować koszty? Czy wybudowanie dróg, hoteli i lotnisk, które służyć będą później nieusportowionym obywatelom, to wydatek olimpijski, czy też wzbogacanie krajowej infrastruktury? Z niechęcią wróć do igrzysk europejskich w Krakowie, bo to paskudna impreza. Ale dzięki niej przemysłnym krakowianom udało się od rządu wyszarpać nieco grosza na miejskie potrzeby – niektóre obiekty sportowe, takie jak np. tor do uprawiania kajakarstwa górskiego, służyć powinny jeszcze przez lata. Propagandowa zachianka partii PiS kosztowała ok. 2 mld dol. (dokładniej sumy nie poznaliśmy, być może po zmianie rządu wyliczy ją niezależna prokuratura) i trudno powiedzieć, czy to dużo, czy mało.

Z powodów czysto propagandowych o wielkie sportowe imprezy starała się Putinowska Rosja. Do stali piłkarskie mistrzostwa świata i zimowe igrzyska olimpijskie w Soczi. Do nadużyć dochodziło nie tylko przy wznoszeniu obiektów, ale już podczas starania się o prawo do organizacji. Brytyjska prasa (Anglia też kandydowała do przeprowadzenia mundialu) wyciągała fakty mające świadczyć o tym, że Rosjanie przekupowali działaczy FIFA, m.in. dziełami sztuki z magazynów Ermitażu.

Gdy szykowano się do organizowania zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, mieszkalem akurat w Petersburgu. Oczywiście czytałem tamtejszą prasę, słuchałem opozycyjnego (jeszcze istniało) radia Echa Moskwy, rozmawiałem z ludźmi z biznesowego kręgu. Jak bogacili się ludzie z bliskiego otoczenia Putina, nasłuchiwałem się tyle, że aż robiło mi się niedobrze. Szczegółów nie będę przytaczać, bo nie wszystkie pamiętam, trudno je zresztą byłoby dziś weryfikować.

Nawet pandemiczne igrzyska w Tokio nie były takie święte, bo przy sprawdzaniu dokumentów księgowych powylały różne nieprawidłowości.

Później okazało się, że propagandowy zysk z igrzysk w Soczi był nawet mniejszy niż z igrzysk europejskich w Krakowie, bo wszystko skończyło się wielkim międzynarodowym skandalem. Na jaw wyszedł szwindel dopingowy organizowany nie przez poszczególnych sportowców, ale przez państwo. Skutkowało to wykluczeniem rosyjskich sportowców z niektórych dyscyplin lub zakazem startu w barwach narodowych i wielkim oburzeniem tamtejszych kibiców. „Na całym świecie sportowcy biorą koks, ale tylko na naszych spadły takie sankcje. To niesprawiedliwe. Oni się boją naszych wspaniałych zawodniczek i zawodników i dlatego dyskwalifikują wszystkich. To spisek Zachodu przeciw naszej ojczyźnie”.

Starałem się cierpliwie tłumaczyć, że istotnie, wszędzie zdarza się, że sportowcy stosują niedozwolone wspomaganie, w Polsce także. Ale wszędzie z tym walczą, a na czele tej walki stoją krajowe agencje antydopingowe. Tymczasem w Rosji proceder stosowania niedozwolonego dopingu odbywał się pod nadzorem agencji, federacji i samego państwa. Czy myślicie, że coś zrozumieli z tego tłumaczenia? Nic a nic. „Boją się nas, to nic innego niż spisek Zachodu” – powtarzali w kółko.

Być może autorytarne rządy wynoszą więc jednak korzyść z organizowania wielkich sportowych imprez? Propaganda to wielka siła.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, [Malgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Taniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰, (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 4.10.2023 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Połowa września na wrzosowiskach. Na kamieniach oparty stoi kocioł, w którym bulgocze upiorna zupa: skrzydło nietoperza, ropusza skóra, kości rycerza, który zdradził króla, czosnek, zawilec, rokiecie ziele i tłuszcze ze szczura z zadżumioną wątroba. Piekielny opar. I trzy wiedźmy, już nasycone upieczonym koźlim combrem i opite winem z piołunu.

– Póty las birnamski nie dojdzie do dunzy-nańskiego wzgórza, póki władza Kaczyńskiego będzie mocna i nienaruszalna – rzecze pierwsza, do Ziobry podobna.

– Las Kabacki – prostuje druga, ślepa na jedno oko, z facją, która świadczy o zaawansowanym brodawczaku ludzkim.

Trzecia wiedźma, prawie łysa, najwidoczniej dotknięta zespołem Tourette’a, mamrocze językiem obajkim: – Skurwysyn. Ten chuj pierdolony, brudna pała. Wkurwia mnie to, ale co zrobić? Stary buc, który na emeryturze powinni siedzieć. Lecz przecież i tak go weźmiemy. Chuja trypla.

– A właśnie? Po ile benzyna na Orlenie? – pyta pierwsza wiedźma, a pozostałe dwie rechoczą jak upośledzone warany, mlaszcząc okropnymi ozorami.

– Wara nam od Kaczyńskiego i drużyny jego – skrzeczy czarownica z bielmem na jednym oku. – Trzeba nam go bronić, pieścić i całować. I nie tylko jego... Również kostropatego Sasina, załganego Morawieckiego, Ziobrę, Błaszczaka i tego od wiz z wredną gębą.

– Oni wszyscy mają wredne gęby, he, he, he...

Szantrapy spoglądają w kocioł, zachłystując się wstrętnym trującym wyziewem.

– Kaczyński pożre się ze wszystkimi sąsiadami – wieszczy podobna do Ziobry.

– Wyprowadzi lud z Unii Europejskiej – zapowiada półślepa.

– Zapadnie na trąd, ogarną go wrzody, na koniec rozpadnie się na kawałki – zwiastuje łysa i dodaje: – A wcześniej sprawi, że benzyna będzie po dziesięć.

Dobrze tak ludowi głupiemu, narodowi wybranemu do upadku, przekupionemu przez pięćset plus, okradzionemu, oszukanemu, skazanemu na wieczne cierpienie. Taki los spotyka hołotę głoszącą na odrażający żywioł pisowski.

– Hekate to uczyniła – jęczy pierwsza wiedźma, pokazując bezzębne dziąsła w szkaradnym uśmiechu. – Pani, która karmi się udręką i torturami.

– Szatan – szepcze druga.

– Bestia pędząca na ludzkim bólu.

Mrucząc, dumają trzy szkaradne stwory nad przyszłością kraju skazanego na nicość. Wtem półślepa wiedźma podnosi się z kućki i spogląda na zimne słońce zachodzące za horyzont. Zauważa ruch jakiś. Czyżby to Las Kabacki się poruszył?

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI

GOŚKA DANISZEWSKA

zawsze opierdalała **AGNIESZKĘ WOŁK-ŁANIEWSKĄ**, że ma nieprzepracowany temat śmierci. Że nie umie o śmierci myśleć ani mówić, a przecież to naturalna konsekwencja życia. Dziś, kiedy Gośka umarła, Wołk słyszy jej drwiący głos: „A nie mówiłam”.

Poznałyśmy się w latach 90. na kwintnej imprezie w ich nowiutkiej wtedy willi i od razu zaczęło się od zgrzytu. Młoda dziennikarka, bez kasy na nocną taksówkę z Konstancji na Żoliborz, pojechałam na imprezę samochodem. I potem usłyszałam od jednego z naszych wspólnych znajomych, że odmówiłam Gośce wypicia bruderszaftu, mówiąc: „Może kiedy indziej, proszę pani”, podczas gdy ja, siemota, mówiłam tylko tyle, że tym razem nie mogę się napić. Szczęśliwie udało nam się wyjaśnić to sobie następnym razem. I oblać, stosownie do okoliczności. A potem było już z górki.

„Dialogi dam w drodze do kościoła” to był jej pomysł. Prezent dla Czytelników na Gwiazdkę 2011 r. To nie miała być stała rubryka, tylko takie jednorazowe czytadło. Tytuł powstał później – wymyślił go Urban i tak nam się spodobał, że postanowiłyśmy chodzić do tego kościoła co tydzień. Na początku jednak pogadałyśmy parę godzin, ja to nagrałam, a potem spisałam i wysłałam do redakcji w mailu zatytułowanym „My o ruchaniu”. Bo też i o tym było: o seksie, kochankach, orgazmach, majtkach Urbana ukradzionych przez kurwę w Victorii, ale też o starzeniu się. Buntowałam się wtedy przeciwko koncepcji starzenia się z ukochaną osobą. Gośka odpowiedziała mi pogodnie, że to dlatego, że jestem młoda i gównie rozumiem. „A na starość – dodała – żeby się przytulić do starego ciała swoim starym ciałem, to już musisz kochać”.

Lubiła mówić o miłości, tak samo jak lubiła mówić o seksie. To nie znaczy, że uważała, że te dwie rzeczy muszą się wiązać, tyle że obie uważała za bardzo ważne. Kochała Urbana radykalną miłością, która nie wyblakła w czasie.

Po 37 latach małżeństwa myślała o nim z taką samą uważnością, z jaką zapewne spoglądała mu się w początkach ich nielegalnego romansu, kiedy on był „tym chujem z uszami” (tak zareagowała kiedyś, zobaczywszy go w kawiarni), a ona z kolegami z opozycji planowała, jak złamać mu serce.

Planowała nieszczerze, ale była to rzadka nieszczerść w jej życiu. Gośka zawsze mówiła

to, co myśli, nieszczerze przejmując się, jakie zrobi wrażenie. Była w tym trochę podobna do Łysego, ale nie do końca. U Urbana jego prowokacyjna, niekiedy ekshibicjonistyczna szczerość była formą intelektualnej gry, czynionym wbrew własnemu doskonałemu manierom wyzwaniem, które rzucał wszelkim tabu. Gośka po prostu taka była: nie miała cierpliwości do hipokryzji i konwenansów. Czasem brutalnie opierdalała mnie w „Dialogach” za to, co mówię albo i jak mówię. Ja strzelałam focha i wpisywałam ten jej monolog in extenso (spisywanie „Dialogów” należało do mnie, Gośka nie pisała na komputerze). Potem nam wkurw przechodził i znowu byliśmy przyjaciółmi. Nigdy „przyjaciółkami” – obie nie miałyśmy nadmiernego przekonania do tej babskiej instytucji.

Bywała hojna na tuziny zadziwiających sposobów. Zaprosiła do domu bezdomnego pana Jana, odziała go w podomkę Urbana

i dostarczała mu gazety do porannej kawy. Przygarnęła całą rodzinę Tatarów, którzy zbiegli z Krymu po aneksji przez Rosję. Kiedyś późną jesienią, jadąc do domu, zobaczyła na murku płaczącą staruszkę: zawróciła, zaparkowała ją do samochodu i zawiozła do Warszawy. Wracając, ugrzęzła w korkach i zgubiła drogę, bo dawno już nie jeździła po mieście po ciemku w godzinach szczytu.

Czytałam jej złośliwe uwagi, że jest „żoną milionera”. Że łatwo krytykować ludzi, którzy przywiązują zbyt wielką wagę do pieniędzy, kiedy samemu ma się ich tyle, że tak naprawdę nie wie się ile – co Urban wytknął jej kiedyś w felietonie. Nie gniewała się na mnie, raczej ją to śmieszyło. Gośka nie była typową milionerową. Lubiła dobre knajpy, ale whisky piła byle jaką, kochała wytworny hotel na Korsyce, ale chodziła po nim w powyciąganych podkoszulkach z supermarketu. W ramach biżuterii najchętniej nosiła pojedynczy kolczyk. Kiedyś jeden mi się spodobał, więc mi go oddała: wielka różowa landrynka w subtelnej złotej oprawie. Landrynkę wygrzebała z radzieckiego pierścionka po matce, oprawę kazała zrobić na zamówienie.

Bardzo kochała swoich rodziców i była z nich dumna. Z ich szlaku bojowego od Lenino do Berlina, z elegancji, a nawet abstynencji ojca, ze słynnej urody matki. Z czołgu, który z inicjatywy matki stanął w Niewodnicy ku pamięci żołnierzy 26. Pułku Piechoty LWP.

Niewodnica, gdzie jej rodzice mieli dom, radowała ją ogromnie, szczególnie że była Kościelna. Na pierwszym roku studiów przemeldowała się, żeby mieć adres: Niewodnica Kościelna, poczta Trypucie, powiat Łapy. Pojechaliśmy tam kilka lat temu, przy okazji wyjazdu do Białegostoku, na demonstrację solidarności z pobitą Paradą Równości. Do domu nie udało nam się dojechać: jej potężny terenowy mercedes ugrzązł na zarośniętej, nieużywanej od lat drodze. Wyskakiwałam do rowu. Potem Gośka skarżyła się, że pokrzywy poparzyły jej sutki. „Jak myślisz – zapytała – czy te pokrzywy były takie wysokie, czy aż tak nisko opadły mi cycki?”

Urban, odchodząc, zabrał ze sobą jej pogodę ducha, gotowość do śmiania się ze wszystkiego i wszystkich, a głównie z siebie. „Dialogi” robiłyśmy przez maila, czasem przez telefon. Ostatni raz widziałam ją w marcu, w jej urodziny. Na imprezie, zamiast zwykłego pijanego tłumu, głośnej muzyki i rzeki gorzały, była garstka znajomych, zgromadzona wokół szeszlonga, z którego Gosia, po zeszłorocznym złamaniu stawu biodrowego, bała się wstawać. Było jasne, że jakaś epoka się kończy, ale nikt z nas nie sądził, że skończy się tak szybko.

Kurwa mać.

WOŁK

Dialogi dam w drodze do kościoła. Epilog

rys. RYSZARD DĄBROWSKI

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 268

